WAŻNA UWAGA:

10 PRÓŚB KSIĄŻKI DO CZYTELNIKA

I. Nim zaczniesz czytać – obłóż mnie w papier.
II. Nie dotykaj mnie brudnymi rękami.
III. Nie czytaj mnie przy jedzeniu!
IV. Nie śliń palców przy przewracaniu kartek.
V. Nie mnij kartek i nie zaginaj rogów.
VI. Nie przeginaj mnie przy czytaniu.
VII. Nie kładź mnie rozłamaną, grzbietem do góry!
VIII. Nie umieszczaj mnie w domu na miejscu nieodpowiednim!
IX. Nie rób na mnie żadnych znaków i dopisków.
X. Nie wyrywaj i nie niszcz obrazków i kartek.

Wymaga się od każdego wypożyczającego książki z Biblioteki Związku Narodowego Polskiego, aby się zastosował ściśle do powyższych próśb i w ogóle należy oddać książkę w takim stanie, w jakim ją wypożyczono, w przeciwnym razie osoba wypożyczająca będzie zmuszona do zapłacenia wartości książki.

DYREKCJA

NOV 1986 – 2M

ROZMOWY

MATKI Z DZIEĆMI.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

W DRUKARNI MAXYMILIANA CHMIELEWSKIEGO.

ROZMOWY

MATKI Z DZIEĆMI

PRZEZ

AUTORKĘ

Pamiętników Młodej Sieroty.

W WARSZAWIE,

NAKŁADEM GUSTAWA SENNEWALDA,

PRZY ULICY MIODOWEJ Nro 483.

1841.

Wstęp.

—

W rozmowach matki z dziećmi, nie miałam na celu stawiać przykładów jakim sposobem kształcić należy młodociane umysły;— zdolności ich bowiem, pojęcie, charakter, tak się od siebie różnią, że na to nie podobna żadnych ustanowić prawideł, i tylko oko matki dójrzy właściwą ku temu drogę.— Nie raz jednakże widziałam dzieci nad swój wiek myślące, nie raz słyszałam jak

głębokie zadawały pytania i jak je powierzchowną zbywano odpowiedzią, pod pozorem: że nie można dzieciom wysokich przedmiotów objaśniać.— Przekonana o błędności tego zdania, umyśliłam tu okazać że choć najwyższym punktem oświaty jest dokładne poznanie dobroci Boga, dzieł Jego, i powinności naszych, wszelako od pierwszych chwil życia należy dzieci do tego celu prowadzić; z każdéj drobnostki, z każdego pytania można je przywieść do rozważania wielkości Stwórcy, można w małych sercach wzbudzić wdzięczność ku Niemu, a tak, pomału, nieznacznie ale gruntownie wznosić trudną wychowania budowę.

Czuję że ogłoszone teraz rozmowy obejmują zaledwie tysiączną część przedmiotów z którémi dzieci zawczasu ob-

znajmiać trzeba, lecz niechaj choć w kilku główkach krzywe zdanie sprostują, niech wzniecą chęć zastanawiania się, a już praca moja nie będzie daremną, już znajdzie zachętę, i z czasem, może cóś dokładniejszego w tym zawodzie wykona.

[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]

ROZMOWA I.

ŚWIAT, ZIEMIA.

Letnim wieczorem matka z dwójgiem dzieci siedziała w pokoju; sama zajęta była jakąś robotą, ośmioletnia Antosia stała zamyślona w otwartém oknie, a rokiem od niéj młodszy Józio grał sam z sobą w piłkę przy ścianie.

Nagle dziewczynka podniosła spuszczoną główkę.

—Jak bym ja też chciała wiedzieć co jest świat! zawołała.

JÓZIO.

Wielka mi rzecz! świat, to ziemia.

ANTOSIA.

Słyszałeś to od Jakóba, ale pamiętasz przecię jak nam proboszcz mówił, że słońce, gwiazdy, morza, to wszystko świat.

JÓZIO.

Już to co jest świat to jeszcze nie wiem, ale wierz mi Antolko że jest okrągły i toczy się dzień i noc, tak ot jak moja piłka.

ANTOSIA.

Co też ty prawisz! gdyby był okrągły to by przecież nie miał końca, a ja nie raz słyszałam że ludzie idą daleko, daleko, aż na koniec świata.

MATKA.

Żeby Antosia o wszystko czego nie rozumie pytała mamy, nie potrzebowała by myśléć na próżno, i wierzyć brednioin które się jéj obijają o uszy.

ANTOSIA.

Ah mamo! bo ja nie wiedziałam że ty znasz świat i żeś go cały widziała.

MATKA.

Ani ja, ani żaden człowiek nie może przéjrzeć całego świata, wiedzieć o wszystkiém co on w sobie mieści, ale wiele już części jego odkryto i zgłębiono, a ile wiem z tego, tyle wam dzieci moje opowiedzieć mogę.

ANTOSIA.

Więc to jednak prawda że ten świat

jest wielki. — Ale jak on też dużym być może.

MATKA.

Nie podobna tego wymierzyć, lecz jeżeli chcesz mieć jakie wyobrażenie o wielkości jego, zastanów się cokolwiek. Znasz ty Warszawę.

ANTOSIA.

Znam, przecież to jest miasto gdzie Babunia mieszka.

MATKA.

Czy ci się to miasto małém wydaje?

ANTOSIA.

Gdzież tam! jak to długo trzeba jechać od mostu nim się stanie na Nowym świecie, a to jeszcze nie koniec Warszawy.

MATKA.

Wiesz i to zapewne że Warszawa jest największém naszém miastem; ale w całym kraju jest miast mniéjszych kilkadziesiąt, miasteczek więcéj daleko, a wsi tyle żebyście ich zliczyć nie umieli.

JÓZIO.

Już ja o tém słyszałem moja mamo, ale nie rozumiem dobrze co to jest kraj.

MATKA.

Jest to jak już powiedziałam większy lub mniéjszy kawał ziemi na którym mieszkają ludzie mówiący jednym językiem, mający jednakowe zwyczaje, jeden rząd, i kochający się jak bracia.

ANTOSIA.

To prawda! a nawet bardzo łatwo

poznać gdzie się jeden kraj kończy a drugi zaczyna; pamiętasz Józiu jakeśmy na wiosnę jeździli do Prus do cioci, choć tam takie same domy i ludzie, a zaraz inaczéj; nie tak się ubierają, nie tak mówią jak u nas, znać że to nie Polska.

MATKA.

Otóż lube dzieci, takich krajów jak Polska, jak Prussy, i większych jeszcze kilkadziesiąt składają dopiero jedną część ziemi;— takich części jest pięć.

JÓZIO.

Wiem, wiem, Europa, Azja, Afryka, Ameryka i Australja.

MATKA.

Przy każdéj z tych części są jeszcze morza, zajmujące tyle miéjsca ile go

kraje zajmują, a to wszystko razem tworzy kulę ziemską.

JÓZIO.

A widzisz Antosiu! nie mówiłżem ci że ziemia jest światem, i że świat jest okrągły jak kula.

MATKA.

Mylisz się, nie świat, ale ziemia ma kształt okrągły; ziemia zaś choć nam się tak wielką wydaje jest tylko malenką cząstką świata.

ANTOSIA.

Czy mama żartuje? a cóż jest większém od ziemi?

MATKA

Słońce, i wiele z tych gwiazd które wieczorem jak drobne światełka widzimy nad naszémi głowami.

ANTOSIA.

Nie mamo, to bydź nie może! to jak gdyby kto powiedział że nasza lampa większa od salonu.

MATKA.

Zdaje ci się to niepodobném a jednakże tak jest w saméj rzeczy, po długich latach namysłu udało się ludziom wynaleść sposób mierzenia przedmiotów takich nawet które ledwie okiem dojrzéć można.

JÓZIO.

I wymierzyli że słońce większe od ziemi.

MATKA.

O wiele razy.

ANTOSIA.

A dla czegóż nam się takie małe wydaje?

MATKA.

Bośmy od niego niezmiernie daleko, a wiecie dobrze, że każda rzecz z daleka mniejszą się niż z bliska wydaje.

JÓZIO.

Gdyby mi to nie mama powiedziała to bym nie uwierzył.

ANTOSIA.

Ani ja. — Ale droga mamo, mówiłaś że ziemia jest okrągła, to chyba nie na całej ziemi ludzie mieszkają? bo weźmy ot ten kłębek, choćbym niewiem jak wiele perełek nasypała na niego, to się ledwie na jednej stronie

utrzymają, a druga zawsze pustą zostanie.

MATKA.

Ziemia ma taką własność że wszystko przyciąga do siebie co się tylko na niéj znajduje, dla tego więc ani my, ani zwierzęta, ani domy nie odpadają od ziemi choć ona się nie ustannie obraca.

ANTOSIA.

Więc to jednak prawda że się ziemia z nami obraca? dla czegóż ja tego nie widzę?

MATKA.

Dla tego że ten obrót odbywa się powoli i nieznacznie.— Czy jadąc po równéj drodze w zamkniętym powozie możesz spostrzedz o ile się posuwasz?...

ANTOSIA.

Nie....... rozumiem teraz że to wszystko może bydź tak jak mama mówi, ale to zawsze rzecz bardzo dziwna.

MATKA.

Lepiéj więc skończmy już tę rozmowę, wiécie że wam niechętnie wiele nowych rzeczy od razu powiadam, bo w tak maleńkich główkach łatwo się wszystko pomieszać może.

ANTOSIA.

Już tylko słóweczko kochana mamo! jeżeli się nasza ziémia tak po czém toczy jak piłka po ziemi, jakimże sposobem nic się nie skruszy, nie zgniecie, nawet okna inspektowe i szklanne dzwony w ogrodzie?

MATKA.

Gdyby się ziemia po czém twardém toczyła, wtedy moje dziecię nie tylko okna, ale ani domy, ani ludzie, ani najwyższe góry nie zostały by w całości, ale ona się obraca nic dotykając niczego, oprócz powietrza wśród którego jest zawieszoną, równie jak słońce, gwiazdy....

ANTOSIA (zakrywając oczy).

Ah w głowie mi się kręci! mamo! Józiu! dajcie mi ręce my w powietrzu wisimy! trzymajmyż się przynajmniéj mocno, żebyśmy razem zostali.

MATKA.

Czy dopiero od téj chwili wisimy Antosiu? wszak wiesz ile tysięcy lat ziemia w tém samém miéjscu zostaje w

którém ją Bóg umieścił, dla czegóż teraz lękać się zaczynasz?

ANTOSIA.

Bo nie wiedziałam żeśmy w takiém niebezpieczeństwie,— droga mamo! jak to smutno pomyśleć że kiedy ja się w najlepsze bawię, cała ziemia z naszym domem, ogrodem, z tobą i tatką, może spaść i Bóg wie gdzie polecieć.

JÓZIO.

Albo, że jaka ogromna gwiazda może nam spaść na głowy i wszystkich pozabijać.

MATKA.

Dzieci moje! z kądże wam ta obawa? nie wiecież że Bóg stwarzając świat cały każdéj rzeczy miéjsce naznaczył? ziemia i wszystkie ciała niebieskie po-

ruszają się i toczą po téj tylko drodze, którą im Stwórca wskazał, nigdy żadne z nich na włos jeden bez jego woli nie zboczy.—

JÓZIO.

Ale gdyby Bóg chciał?....

MATKA.

Mógłby wszystko zniszczyć jak wszystko stworzył, to jest jedném słowem; ale ten Bóg co tak mądre ustanowił prawa, co wszystko tak starannie zachowuje nie zniszczy nic bez potrzeby.

ANTOSIA.

Bo by też to smutno było!

MATKA.

Dla czego?

ANTOSIA.

Ależ mamo, gdyby naszéj ziemi nie

było, gdyby ona się kiedy skruszyła to i my byśmy pomarli.

MATKA.

Alboż nie możemy umrzeć i teraz choć ziemia jest na swojém miéjscu?....

JÓZIO.

Prawda! a potém wszak ty mamo powiadasz, że umrzeć to nie tak wielkie nieszczęście dla dobrych dzieci.

MATKA.

Słusznie mówisz Józiu, ale śmierć dziecięcia jest wielkiém dla rodziców zmartwieniem. —

ANTOSIA.

To my pewno nie prędko pomrzemy, bo ja co dzień Boga proszę żeby od mamy zmartwienia oddalał.

MATKA.

Uściskaj mię lube dziecię, a teraz pójdźmy do ogrodu, dość już na dziś téj rozmowy.—

ROZMOWA II.

CZŁOWIEK I JEGO DUSZA.

MATKA.

O czém że się moja Antosia znów tak zamyśliła? czy szukasz gdzie koniec świata?....

ANTOSIA.

Nie mamo kochana, już teraz rozumiem że świat jest wszystko to co Bóg stworzył; ale mi smutno pomyśleć o tylu ogromnych rzeczach.

MATKA.

I czemuż to cię zasmuca?

ANTOSIA.

Bo kiedy te gwiazdki co mi się tak małémi zdawały jak ziarneczka grochu, większe są od ziemi, jakaż ja jestem maleńka.

JÓZIO.

A dopieroż ja com jeszcze mniéjszy od ciebie! już bym wolał bydź słoniem jak człowiekiem.

ANTOSIA (ze śmiechem).

Prześlicznie byś wyglądał! co za nos! a uszy! a oczeczki malutkie! co do mnie, to wolę bydź małą dziewczynką niż największym a niezgrabnym słoniem.

MATKA.

Dla tego zapewne że ci się twoja postać piękniéjszą od słoniéj wydaje.

ANTOSIA.

Alboż nie prawda?

MATKA.

Prawda moje dziecię, i na to się zgadzam że człowiek porównany z ogromnémi innémi ciałami jest maleńkim ledwie dojrzanym proszkiem.— Jednakże Antosiu człowiek ma większą moc, większe znaczenie niż wszystko co się w całém stworzeniu zawiera.

ANTOSIA.

Mnie się tak nie zdaje; wszakże najprostsze zwierzęta mocniéjsze są od nas, wszak koń, wół, ciągnie wozy którychby czterech ludzi nie poruszyło z miéjsca.—

MATKA.

A któż te bydlęta do wozu zaprzęga?

kto niémi kieruje jeżeli nie człowiek? kto słonie, wielbłądy lekką laseczką pędzi przed sobą? kto lwy i tygrysy oswaja jeżeli nie człowiek?..... prawda, gdyby tylko siłą rąk swoich chciał walczyć, nic by nie dokazał, ale wiécie że Bóg człowiekowi dał rozum, rozumem to on włada nad wszystkiém, rozumem wynajduje sposoby podbicia sobie ogromnych zwierząt, przed rozumem człowieka upokarza się wszystko i uznaje go za pana.

ANTOSIA.

Ale téż to nie każdy człowiek rozumny. —

MATKA.

Bóg tak sobie z nami postąpił jak dobry ojciec z dziećmi; każdemu dał część rozumu, jak by kawał dobréj

roli; kto swoje pole orze, kopie, dobrém ziarnem zasiewa, i chwasty wyrywa, ten się pięknego żniwa doczeka; tak i z rozumem; kto się uczy, uważa, starszych chętnie słucha, ten z czasem będzie mądrym i światłym. Kto zaś woli próżnować niż pracować ten ani z pola, ani z rozumu pożytku mieć nie będzie.

JÓZIO.

Czy nikt oprócz człowieka nie ma rozumu?

MATKA.

Zwiérzęta mają pojęcie, mogą się nauczyć tego co im człowiek pokazuje, ale myśleć sam przez siebie, rozważać nad tém co widzi może tylko sam człowiek.

ANTOSIA.

Dla czego jednak Bóg dał rozum człowiekowi a nie innemu stworzeniu?

MATKA.

W tém właśnie widzimy wielkość Boga;— Jego wolą może najmniéjszą istotę nad największą wywyższyć.— Kiedy Bóg stworzył słońce, ziemię, gwiazdy, wyznaczył im drogę, i powiedział: »*tędy chodzić będziecie*» a słońce, ziemia, gwiazdy, poruszają się podług jego woli, nie wiedząc i nie myśląc dla czego.— Ale stworzywszy drobnego człowieka Bóg rzekł, »daję ci wolną wolę chodź gdzie chcesz, rób co chcesz, tylko kochaj Boga nad wszystko, a bliźniego jak samego siebie.—

JÓZIO.

A więcéj nikomu Bóg się kochać nie kazał?

MATKA.

Nikomu więcéj Bóg tego nie powiedział; zwierzęta nie wiedzą ani myślą kto ich stworzył, a te ogromne światła w powietrzu, te góry nad ziemią, te drzewa wysokie nie mają głosu aby go wielbić.— Tylko człowiek czuje że jest nad nim Bóg dobry, tylko człowiek może powiedzieć co myśli, może prosić i dziękować stwórcy swojemu.

ANTOSIA.

To jednak piękna rzecz bydź człowiekiem mamo! szkoda tylko że to na ostatku trzeba umrzeć koniecznie.

MATKA.

Uważ moje dziecię jak i w tém człowiek jest szczęśliwszy od wszystkiego na świecie.— Bóg stworzył człowieka

podobnym do siebie; nie myślcie jednak aby Bóg miał takie usta, oczy, ręce, jak my mamy, tego nikt niewidział i widzieć nie może, ale Bóg jest wiecznym, Bóg nigdy żyć nie przestanie, i podobną do siebie nieśmiertelną duszę dał człowiekowi; ta dusza ożywia nasze ciało, pobudza nas do czynności, i kiedy człowiek umiera, kiedy nam się zdaje że już się wszystko dla niego skończyło, kiedy jego ciało ziemią przysypią, dusza wznosi się do Boga i zostaje przy nim na wieki.

JÓZIO.

Co to są wieki?

MATKA.

Jeden wiek ma sto lat, a że Bóg zawsze żyć będzie, więc jeszcze nie jedne sto lat i dusze nasze żyć z nim będą.

Zamyśliły się dzieci, a po niedługiéj chwili Józio rzekł z uśmiechem:

—Już teraz nie żałuję żem człowiekiem, bo choć ja taki mały mogę sobie żartować z wszystkiego; ta ziemia taka wielka żem jéj się dziwił i lękał wczoraj, nie może się ani ruszyć z miéjsca; nic nie wié, nic nie czuje, toczy się i toczy ale nie wie dla czego — a ja tu mogę po niéj skakać, mogę ją deptać jak mi się podoba...

MATKA.

O tém jednakże pamiętać powinieneś że jak Ci Bóg dał wszystko tak odebrać może, i że nie należy pysznić się z niczego.

ANTOSIA.

Mówiłaś nam mamo nie raz że wszystko co mamy, zdrowie, dom, ubiór,

żywność, wszystko to jest w boskim ręku, jednak mnie się zdaje że jednéj rzeczy nawet sam Bóg odebrać nam nie może.

MATKA.

Cóż to takiego Antosiu?

ANTOSIA.

Duszy nieśmiertelnéj. — Przecięż co Bóg raz powié tego już nigdy nie odmieni, więc choćbyśmy nie zasługiwali na to, nasza dusza zostanie nieśmiertelną.

MATKA.

To prawda Antosiu, ale powinniśmy żyć dobrze, kochać Boga, wypełniać co On kazał, bo właśnie ta nieśmiertelność duszy co nas nad wszystko wynosi, może się stać źródłem największego nieszczęścia.

ANTOSIA.

A jakimżeby sposobem?

MATKA.

Wiecie że Bóg przeznaczył nagrodę dla cnotliwych, a karę dla występnych; jeżeliby więc dusza nasza tak źle działała na ziemi że Bóg osądziłby ją godną kary długo trwałéj a może i wiecznéj, powiédzcie sami czy nie lepiéjby żeby nie była nieśmiertelną?

JÓZIO.

Moja mamo ja nie rozumiem jak to można duszę ukarać? — Powiadałaś nam że dusza i ciało to są dwie rzeczy, że kiedy czujemy głód, zimno, ból, to tylko ciało cierpi a nie dusza — jeżeli więc dusza tego wszystkiego nie czuje, jakże ją ukarać?

MATKA.

Widzę mój Józiu ześ nie pomyślał nad tém co mówisz; kiedy co zawinicie, czyliż was kąrzą głodem lub bólem? czy wam nie bolesno kiedy mię smutną widzicie, kiedy nie możecie być przy mnie?.. a czy nie cierpicie gdy kto z rodziny mocno chory?.... a przecięż wtedy ciało wasze nie doznaje bólu.

ANTOSIA.

To wtedy dusza cierpi zapewne; ale mamo ja bym wolała żeby mię co bolało, wolałabym nie jeść, nie pić, żeby tak nie cierpieć.

JÓZIO.

I ja także! jak to kiedy tatko chorował, mieliśmy wszystko co nam było potrzeba, nikt nas nie łajał, a tak nam było smutno, tak łzy szły do oczu, ani jeść, ani bawić się nie chciało.....

MATKA.

Drogie dzieci moje! wiecie więc co to jest cierpienie duszy, i rozumiecie zapewne, że choć jest nieśmiertelną, choć jest tylko duchem, Bóg ją ukarać może?....

JÓZIO.

Jakże to zrobić mamo żeby nasza dusza nie była karaną; ja nie raz choć nie chcę nic złego zrobić, to tak się jakoś stanie że ni z tego ni z owego na karę zasłużę.

MATKA.

Boś nazbyt żywy, roztrzepany; skoro zaś kto wie że jest człowiekiem, że go Bóg wywyższył nad wszystkie stworzenia, zawsze o tém pamiętać powinien, żeby się nie poniżyć, żeby się nie stać podobnym zwiérzętom, które ani rozu-

mu ani duszy nieśmiertelnéj nie mają, które nie potrzebują starać się o nabycie cnoty, bo im za to nie wyznaczono tak wielkiéj jak nam nagrody.

ANTOSIA.

Ależ to bardzo trudno nigdy i nigdy nic złego nie zrobić.

MATKA.

Nie trzeba téż Boga uważać jako surowego sędziego; bo choć on nie przebacza takich błędów, które umyślnie popełniamy, łagodnym jest jak ojciec dla swoich dzieci, i nie będzie ostro karał tych co mimowolnie zawinili i za swoją winę żałują.

ROZMOWA III.

POLOWANIE NA MOTYLE.

ANTOSIA.

Mój Józieczku proszę cię, potrzymaj to pasemko nici dopóki go nie zwinę, to już ostatnie.

JÓZIO.

Chyba że tak, bo już mię nudzić zaczynasz tém codziennem zwijaniem. Powiedz mi co ty robisz z tylu nici?

ANTOSIA (z uśmiéchem).

Cóś, dla kogóś; jeżeli pójdziesz na pół godziny do swego pokoju to ci potém skończoną robotę pokażę.

Józio choć chłopczyk dość był ciekawym, poszedł więc spokojnie do siebie, zaczął przeglądać nową książkę z obrazkami i tak się nią zajął że ani nie spostrzegł jak się drzwi z cicha otworzyły i siostra za nim stanęła.

— Oto moja robota! rzekła Antosia kładąc przed bratem dużą siatkę z cienkich nici, nawleczoną różową wstążką, teraz zgadnij dla kogo?...

JÓZIO (podskakując z radością).

Siatka na motyle! moja dobra kochana Antolko jakże ja ci podziękuję?... a jaka cienka, jaka ładna! co téż to będzie za uciecha! jużem sobie tak dawno

siatki życzył.... jakaś ty dobra Antosiu!... zobaczysz, jak ją tylko na obręcz osadzę ile to ja motyli co dzień łowić będę; trzeba mi się pospieszyć, to dziś jeszcze jak zmamą wyjdziemy...

To mówiąc Józio wziął się żwawo do roboty, spoił obręczkę stosownie do obszerności siatki, którą mu Antosia zręcznie wstążką przymocowała, wystrugał sobie kijek mający służyć za rączkę przytwierdził go mocno, i kiedy niedługo potém matka zawołała dzieci na przechadzkę, wyszedł dumnie jak wojownik do boju niosąc po raz pierwszy w życiu chorągiew na ramieniu.— Na prośbę jego matka zwróciła się ku obszernéj tuż za wsią leżącej łące, a usiadłszy pod starą lipą co w środku stała, patrzyła z ukontentowaniem, to na Antosię zbierającą drobne kwiatki

do wianka, to na Józia uganiającego się z zapałem za motylami.

Po nie długiej chwili chłopczyna zmęczony przybiegł z tryumfem pod lipę:

—Mamo! Antosiu! zawołał: patrzcie jakie mam śliczne dwa motyle, czerwony z czarnemi oczkami, a drugi w pasy.... moja Antosiu daj mi prędko dwie szpilki.

MATKA.

A to na co?

JÓZIO.

Przypnę ich do kapelusza i pójdę gonić inne.

MATKA

A z tamtemi co zrobisz?

JÓZIO.

I tamte powsadzam na szpilki, i bę-

dę póty biegał po łące, póki całego kapelusza motylami nie pokryję. —

MATKA.

Wieleby ci na to czasu było potrzeba; lecz gdyby i tak, na cóż się to przyda?

JÓZIO.

Na co? czy mama nie widziała jak to chłopczyki mają całe pudełka za szkłem a w nich pełno motyli?

MATKA.

Widziałam.

JÓZIO.

Otóż i ja chcę mieć takie, mam sześć złotych jak tylko kto do miasta pojedzie, to sobie zaraz każę zrobić podobne; prassę to już ja sam sporządzę.

ANTOSIA.

Co za prassę?

JÓZIO.

Widzisz Antolko, jak się motyla wsadzi na szpilkę to on trzepie skrzydełkami i wykręca je w różne strony; żeby mu na to pozwolić to już by go nie było po co wsadzać w pudełko, boby sobie farby poscierał; ale ja wiem jak trzeba zrobić bom to widział u Kazia....

ANTOSIA.

A jakże? mój Józiu!

JÓZIO.

Oto, trzeba urznąć płaski kawałek korka, i szpilkę na któréj motyl siedzi tak włożyć żeby koniec aż na drugiéj stronie widać było, potém podłożyć pod skrzydełka cienkie deszczułki, a

ułożywszy je prosto i ostrożnie przykryć wązkiemi kawałkami papieru, a końce jego przylepić gummą albo lakiem ,do deszczułki; wtedy kiedy już motyl ruszyć się nie może, przytrzymać koniec szpilki nad świécą, i za godzinę można go w pudełko wsadzić.—

MATKA.

Spodziéwam się że mój Józio jeszcze tak pięknéj sprawki nie popełnił?

JÓZIO (zmieszany).

Nie mamo, ale czyż to co złego?

MATKA.

Właśnie chciałam ci cóś podobnego opowiedziéć, posłuchaj:

Pewien człowiek bardzo mocny i wysoki wychodził co dzień w pole, do lasu, lub na łąkę, i gdzie tylko spotkał

wesoło igrające dzieci chwytał je i kładł do torby, którą zawsze nosił na plecach. Gdy powrócił do domu, układał biédne dzieciny na kamiennéj podłodze w któréj były nie wielkie otwory, przywięzywał ich ręce i nogi do kołków żeby się ruszyć nie mogły, potém przebijał każde dziécię rożnem, a koniec rożna przesuwał przez otwór zrobiony w podłodze; pod spodem palił się ogromny ogień, żelazne rożny tkwiące w ciałach dzieci rozgrzewały się do czerwoności, i po niedługiéj chwili nieszczęśliwe ofiary traciły życie w okropnych mękach; ale na ich twarzy nie znać tego było; owszem wyglądały wesoło, z rozpostartemi rękami, z wzniesionemi w różnych postaciach nogami zdawały się tańczyć. Zabójca ich patrząc na ten pozór życia, ustawiał je

z radością w wielkiéj szafie za szkłem, i lubił im się przyglądać po kilka razy na dzień.—

ANTOSIA.

Ah mamo! jakże to okropnie! choć wiem że to prawdą być nie może a jednak strach mię zdéjmuje.

MATKA.

Cóż ty na to Józiu? wszak ten człowiek *nic tak złego nie robił?*

JÓZIO.

Rozumiem ja mamo żeś nam opisała mękę, którą chciałem zadać motylowi; ale to wcale co innego męczyć człowieka choć małego, a męczyć maleńkie stworzenie, kiedy sam Bóg pozwolił nam robić z niémi co chcemy.

MATKA.

Więc gdyby ten człowiek o którym wam mówiłam, postępował tak nie z dziećmi lecz z barankami nie był by wcale winnym?

JÓZIO.

To by zawsze było okrutnie, jednak baranek a motyl to zawsze wielka różnica.

MATKA.

Chyba to że jeden duży, drugi mały, ależ moje dziécię, najmniéjsze stworzenie może czuć radość i boleść. Widziałeś sam jak te motylki wesoło bujały w powietrzu; spójrz teraz;—choć tak lekką siatką nakryte już pospuszczały skrzydełka, lękają się ruszyć, cóż dopiéro jak je szpilkami poprzebijasz! Mówiłeś że motyl na szpilce

wije się i trzepie skrzydełkami, łatwo się domyśléć że z bólu nie z radości — po cóż więc i tak małéj istocie nie potrzebnie sprawiać cierpienie?

JÓZIO (otwierając ściągniętą siatkę).

Lećcie więc sobie motyle! ja wam takiego bólu nie zadam, choć jednakże dobrze nie rozumiem, dla czego ludzie mogą bez winy zabijać większe daleko zwierzęta, i jeszcze jeść ich mięso.— Naprzykład Jakób strzela do sarn i zajęcy, Mosiek zarzyna woły i barany, nie raz nawet słyszałem jak mama sama każe kucharce zabić kurę lub kaczkę.

MATKA.

Wnosisz zatém że wszystkie te osoby są złe i okrutne?... ale zważ że ludzie przekonali się iż pożywienie z mięsa zwié-

rzęcego posilniéjszém jest nad jarzyny i owoce, mając zaś pozwolenie używania zwiérząt do swoich potrzeb, nie czynią nic złego zabijając je sposobem najprostszym, i najmniéj cierpienia sprawiającym. Prócz tego, gdybyśmy nie używali zwiérząt na pokarm, namnożyłoby ich się tyle żeby i ludziom za ciasno było na ziemi.—

JÓZIO.

Moja Antolko, weź sobie tę siatkę, może z niéj zrobisz co innego, bo mnie się ona już na nic nie przyda.—

MATKA.

Owszem dziécię moje przyda ci się ona na wiele; zachowaj ją do jutra, nie myśl żebym ci chciała miłą zabawkę odbierać memi uwagami. Zastanów się; gdyby ten człowiek o którym wam

powiadałam zamiast męczyć dzieci chciał patrzéć na ich zabawę, uważać ich twarzyczki, poznawać charaktery, czyliżby nie miał większéj przyjemności?... I my tak zrobimy.— Jutro zaraz po obiedzie przyjdziemy znów na łąkę, schwytasz nam kilka motyli, przypatrzymy im się z bliska, opowiem wam co wiem o ich życiu i nazwiskach, a do twego pudełka mój Józiu obiecuję ci najpiękniejszy zbiór malowanych, lecz *nie męczonych motyli.*

Józio ucałował rękę matki, zarzucił znowu radośnie swoją siatkę na ramię, Antosia otoczyła ją długim wieńcem kwiatów, i choć się polowanie na niczém skończyło, wszyscy wesoło do domu wrócili.—

ROZMOWA IV.

MOTYLE.

Nazajutrz dzieci z niecierpliwością czekały obiadu, i zaledwie się słońce cokolwiek ku zachodowi pochyliło wyprowadziły matkę na łąkę; już w tym dniu i Antosia nie wiła kwiatów, niecierpliwa, ciekawa biegała w tę i owę stronę za bratem napędzając mu niby motyle do siatki, lecz jak to zwykle bywa, że im więcéj zachodów tém mniéj

korzyści, długi czas upłynął nim zmordowany Józio przyniósł matce nie wielkiego motyla. Ta wyjęła z woreczka pudełko z cienkiego szkła zestawione, przełożywszy w nie zręcznie motyla, dobyła jeszcze nie wielkie okrągłe szkiełko, i podając je dzieciom rzekła:

—Patrzcie przez to szkiełko, czy też nic nadzwyczajnego nie spostrzeżecie.

J Ó Z I O.

Ah co za ogromne motylisko! czyż on w tém pudełku tak urosł?

A N T O S I A.

To tylko przez szkło tak się wydaje, bo to jest szkło powiększające; wszak prawda mamo?

M A T K A.

Jest to drobnowidz, czyli szkło po-

większające o bardzo wiele razy wszystko na co przez nie patrzymy.

J Ó Z I O.

Mamo droga jakież on ma oczy? to tak jak te rznięte kamienie co je nosisz w pierścionkach.

M A T K A.

Dobrze uważasz, ale wiedz że na oczach niektórych motyli naliczono kilkanaście tysięcy takich maleńkich scianek, a jak powiadają każda ścianka ma własność osobnego oka; zważ więc że te istotki muszą mieć wzrok bardzo bystry.

J Ó Z I O.

Ciężko je téż schwytać.

A N T O S I A.

Józiu! Józiu! czyś ty się przypatrzył

jego skrzydłom? patrz te białe plamki po bokach z czego one zrobione?

J Ó Z I O.

Prawda że to dziwne! poczekaj no popatrzę bez szkiełka; teraz wszystko zupełnie gładkie, a jak spójrzeć przez drobnowidz, to się zdaje że te prążki czerwone, te plamki białawe ułożone są z drobnych ale tak drobnych piórek że je zaledwie widać; — nawet samo tło czarne z takich że piórek się składa — Czy to tak jest w saméj rzeczy, czy nam się tylko przez to szkło w oczach mąci?

M Á T K A.

Gołém okiem widzisz zapewne na skrzydłach motyla leciuchny pyłek?.... pyłek ten są to w saméj rzeczy drobniutkie piórka, któremi Bóg ozdobił to ma-

łe stworzenia. — Teraz odwrócie pudełko na drugą stronę.

ANTOSIA.

Co widzę! numera pod skrzydłami!

MATKA.

Te i bez szkła zobaczycie, nie wszystkie jednak motyle posiadają tę cechę, jeden tylko ten gatunek dość rzadki u nas odznacza się tém od innych; pod skrzydłami jego jest wyraźnie wypisana summa z trzech liczb złożona z których środkowa zawsze jest ósemka.

ANTOSIA.

Tu stoi 780.— Ale czy i motyle mają swoje nazwiska?

MATKA.

Nie inaczéj; naliczono ich już przeszło trzy tysiące. Ten którego tu wi-

dzicie nazywa się *Atalanta* inni zowią go jeszcze *Marsem* inni *Admirałem*.

ANTOSIA.

Czy to prawda mamo, że motyle wylęgają się z tych brzydkich liszek co drzewa objadają. —

MATKA.

Tak jest moje dziecię; motyle przemieniają się po kilka razy nim się nam w takiéj jak teraz ukażą postaci. — Niektóre przędą na około siebie lekkie pokrycie jakby z pajęczyny, i dopiero z niéj wychodzą jako motyle; niektóre potrzebują rok i dwa lata nim zupełnie dójrzeją.

JÓZIO.

Czy mama zna wszystkie gatunki motyli?

MATKA.

Byli ludzie którzy całe swoje życie poświęcili na zbadanie własności i zliczenie odmian motyli a jeszcze ich wszystkich nie poznali. – Ja ich znam nie wiele, jednak muszę wam powiedzieć że się dzielą na dwa wielkie oddziały, to jest na Dzienniki i Ćmy czyli Zmierzchniki. Pierwsze latają w dzień, zasypiają w nocy, i dotąd jeszcze nie odkryto z nich żadnego pożytku. Ćmy przeciwnie, latają tylko po ciemku i pomiędzy niemi znajdują się najszkodliwsze i najpożyteczniejsze gatunki.

ANTOSIA.

Nie pojmuję czém by takie ładne stworzenia mogły komu zaszkodzić.

MATKA.

W postaci motyli żywią się one tylko

miodem kwiatowym, lecz dopóki są gąsienicami wielkie robią szkody w polach i ogrodach, widzieliście nie raz jak kwiat a nawet liście na drzewach objadają, jak psują kapustę i inne warzywa; najniebezpieczniejsze są te które się żywią zbożem, bo były przykłady że całe prowincye ogładzały czasami.

JÓZIO.

Ah cóż to za żarłoki!

ANTOSIA.

Znać że śpią przez dzień cały; ale jaki też z nich pożytek?

MATKA.

Wspomnę wam tylko o jednym gatunku. *Jedwabnik* czyli *Jedwabnica* z cieplejszych krajów przeszedł do nas; gąsienica jego żywi się liśćmi morwo-

wego drzewa; kiedy zupełnie dorośnie, zaczyna puszczać lepki sok z pyszczka i wyrabiać go nogami; sok ten w chwilkę tężeje jak miękka i giętka nitka;— gąsienica owija się nią z jednego końca a drugi przędzie co raz daléj dopóki nitka nie dojdzie 900 lub tysiąc stóp długości, wtedy kończy się praca jedwabnicy, postać jéj przybiera kształt małego kłębka a ona sama obumiera, aby po niejakim czasie przemienić się w motyla; lecz w miéjscach gdzie pielęgnują te pracowite stworzenia, obawiając się aby po przebudzeniu nie przegryzły delikatnéj przędzy, kładą je w piec gorący lub w wrzącą wodę.

ANTOSIA.

Biédne robaczki!

MATKA.

Nie ma przyczyny żałować ich tak

bardzo; owszem, każdy człowiek powinienby jedwabnicę obrać za wzór sobie; drobne to zwiérzątko działa; pracuje przez całe życie o ile tylko może, a choć w końcu śmiercią przypłaca swoją czynność, zostawia po sobie znaczny i trwały pożytek.

JÓZIO.

Jaki mamo? czy tę długą nitkę?

MATKA.

Tak jest; z nitek tych sprzędzonych i skręconych ludzką ręką mamy jedwab.

ANTOSIA.

Wiele też jedna gąsienica naprzędzie jedwabiu?

MATKA.

Mówiłam wam że jedwabnica po u-

kończeniu swego dzieła ma kształt małego kłębka, z dwóch tysięcy takich kłębków otrzymujemy funt jedwabiu.

ANTOSIA.

Jeden funt tylko! czyż to warto pracy, żeby przez całe życie tak maleńko zrobić.

MATKA.

Jednakże Antosiu zważ ile to ludzi co rok wypotrzebuią jedwabiu, ile wyrobią materji. — Ziarnko do ziarka zbierze się miarka. — Znasz to przysłowie tu je najlepiéj zastosować można, bo robota małego robaczka tak nie znaczna na pozór, składana obok jéj podobnych, tworzy z czasem przedmiot ogromnéj wartości, zapewnia byt kilku tysięcy ludzi, zaopatrza ich w potrzeby życia, w dostatki, a nawet w zbytki.

ANTOSIA.

Nie rozumiem tego mamo.

JÓZIO.

Ani ja!

MATKA.

Wytłumaczę wam się zaraz; — w miejscach gdzie chowają jedwabniki, nie mało osób potrzeba do żywienia ich w czasie zimy, do zdejmowania w porę gotowych kłębków z drzew lub grządek, do parzenia ich i układania w paki na przedaż. — Ludzie ci nie pracują darmo, każdy otrzymuje wynagrodzenie w miarę swojej usługi, a zarobkiem swoim żywi się wraz z rodziną.

ANTOSIA.

To prawda, ale zdaje mi się że na to dość by było kilkunastu osób a mama o tysiącach mówiła.

MATKA.

Poczekaj tylko chwilkę; jedwab w kłębkach wystawiany na przedaż nazywa się surowym; — trzeba go starannie zwijać aby nie uszkodziwszy nitki wydobyć szczątki gąsienicy, trzeba tę nitkę prząść i kręcić w kilkoro, motać i wiązać w motki.— W takim stanie dopiero farbują jedwab na różne kolory, albo go też bielą. — Jakże wam się zdaje czy i do tego starczy kilkanaście osób?...

ANTOSIA.

Zapewne nie! ale ja myślałam że gąsienice przędą już sam jedwab kolorowy.—

MATKA.

Nie, moje dziecię; jedwab surowy jest szarego koloru jak len nie bielony.

JÓZIO.

A z czegóż farby robią?

MATKA.

Z rozmaitych rzeczy, z kory drzew, z kwiatów, z różnych gatunków ziemi, z robaków; a nad zebraniem, przyrządzeniem, i przewiezieniem tego z jednego do drugiego kraju także nie mało rąk pracuje.

ANTOSIA.

Już teraz pojmuję że robota około jedwabiu może zająć nie mało osób, ale moja mamo, widziałam ja nie raz prządki, u nich ani zbytku, ani dostatku nawet nie widać.

MATKA.

Może ci się zdaje żem przesadziła w opisie, ale wnet sama osądzisz. —

Ufarbowany jedwab oddają tkaczom, widziałaś jak się ta robota odbywa; nie tak mozolna jak pierwsza, wymaga jednak dłuższéj nauki i lepiéj jest płaconą. — Wyrabiając tylko nasze lniane tkaniny, tkacz może się z rodziną wygodnie utrzymać; cóż dopiero tam gdzie się tkają atłasy, adamaszki, do których wykończenia potrzeba nauki, zręczności, i doświadczenia. — Gotowe materyje rozsyłane bywają po różnych częściach ziemi; przewożący je ludzie zarabiają już na życie, a jakiż zysk muszą mieć kupcy zajmujący się przedażą tych wyrobów? byłaś w kilku kupieckich domach i u nas i w prussach, nie widziałażeś w nich dostatku i zbytków?

ANTOSIA.

To prawda mamo! jak to jednak co

dzień coś nowego usłyszeć można, ani bym pomyślała przez ile to rąk przeszła moja niebieska chusteczka nim się do mnie dostała.

J Ó Z I O.

Albo że takie małe robaczki tyle ludzi żywią...... żeby tak nad wszystkiém myśléć.... .

M A T K A.

To byśmy pewnie w najdrobniejszéj rzeczy poznali dobroć i mądrość Boga. Teraz dzieci moje pójdźmy do domu, jużeśmy się dość na dziś nagadali.

J Ó Z I O.

Droga Mamo! ja bym cię chciał przez całe życie słuchać, bo ty nam zawsze cóś takiego powiesz, czegośmy się nie spodziewali. — Nasza Anna umie wiele

powieści, i lubię je słuchać, ale nie raz mi się już przy tém spać zachciało, a przy mamie nie wiem czemu nigdy się nie znudzę; a ty Antosiu?

ANTOSIA.

I ja podobnież.... żeby to mama chciała jeszcze nam co powiedzieć?...

MATKA.

Nie, moja Antolko, mówiłam wam już że nie lubię dzieciom wiele od razu opowiadać; ale co się odwlecze to nie uciecze, jeszcze mamy dość czasu na poznanie wszystkiego czego nie znacie.

ROZMOWA V.

POTRZEBA ROZWAGI.

JÓZIO.

Powiedz mi mamo na co ci się przyda ta wielka książka, w której układasz suche trawy i kwiaty?

ANTOSIA.

Ja dawno już chciałam mamy o to zapytać, bo mi się zdaje że lepiej by

malować ładne kwiatki niż je suszyć w papierze, gdzie żółkną i brzydną.

MATKA.

Może by to ładniéj było, ale nie każde ziółko, nie każdą trawkę można dobrze odmalować, nie podobną nawet wyrazić na papierze każde zgięcie, każdy pyłek drobnéj rośliny, przytém narysować można by tylko jedną stronę, a zasuszywszy ziółko lub kwiatek łatwo go na wszystkie strony obéjrzéć.

JÓZIO.

Ale na cóż się to przyda?

MATKA.

Na to, żeby na drugi raz poznać dokładnie roślinę, spotkawszy ją na łące lub w ogrodzie.

ANTOSIA.

Dobrze to jest mamo, jednakże nie rozumiem, na co nam się zda tak głęboka znajomość roslin?

MATKA.

Dziwię się mocno, że Antolka do tego czasu nie dostrzegła na co się to przydać może.

ANTOSIA.

Przepraszam mamę, wiem że każdy powinien znać różę, liliję, chrzan, pietruszkę, bo by to smiesznie było gdyby się kto pomylił. Ale trawki!

MATKA.

Zdaje ci się zapewne że trawka nie zasługuje na tyle uwagi ile większe rośliny?

ANTOSIA.

Nie inaczéj; bo gdyby kto tych nie znał, to zamiast kartofli mógłby narwać cebuli, zamiast pietruszki chrzanu, i dopiero by śliczny obiad zgotował!...

MATKA.

Wiesz że rośliny nie tylko do jedzenia nam służą; są kwiaty, zioła uzdrawiające nas w słabościach, te więc lepiéj jeszcze znać należy; bo ktoby taką popełnił pomyłkę jak dopiéro sama powiedziałaś, całą jego karą było by to, żeby nie zjadł tak smacznie jak sobie zamierzył; lecz gdyby cierpiącemu gorączkę podać ziela rozgrzewającego, przeziębionemu chłodzący napój sporządzić, można by zaszkodzić, a może odebrać zdrowie na całe życie.

JÓZIO.

Może to być, ależ to ci tylko powinni się starać o poznanie ziół, którzy chorych leczyć myślą.

MATKA.

Czyś ty Józiu tak pewny, że nigdy nie będziesz w potrzebie leczenia kogo lub siebie?

JÓZIO.

I bardzo pewny mamo, ja nie myślę być doktorem.

MATKA.

Zle by było moje dziecię gdyby tylko doktorzy mogli nam ulgę przynieść w cierpieniach; bywają tak gwałtowne słabości że natychmiast radzić im trzeba, a na lekarza czasem kilka godzin, czasem cały dzień czekać wypadnie;

cóżby wtedy począł biédny chory gdyby wszyscy tak jak ty myśleli, gdyby nikt nie znał trawki mogącéj go uzdrowić?... Pamiętacie dzieci moje jak przed miesiącem wyszedłszy za wieś spotkaliśmy Franusię Grzelównę?

ANTOSIA.

O pamiętam! biédna dziewczyna żęła trawę dla krowy, i ostrą kosą zacięła sobie bosą nogę; zdaje mi się że ją jeszcze widzę, tak była blada, a koło niéj kawał ziemi krwią był zbroczony.

MATKA.

I cóż ona robiła?

JÓZIO.

Żuła jakieś liście i przykładała do rany, żeby krew zatamować.

MATKA.

Musiała więc wiedzieć jakich liści nazbierać, bo przecięż nie każde mają własność zatrzymania krwi.

ANTOSIA.

Mówiła że to był krwawnik i liście babkowe.

MATKA.

A gdyby ich nie znała cóż by się z nią stało?

JÓZIO.

Nic, bośmy właśnie nadeszli a ty mamo może lepiéj jeszcze znasz zioła jak Franusia.

MATKA.

Ale gdybym też i ja co nie myślę być doktorem nie wiedziała jak pora-

dzić? biédne dziewczę straciwszy zbyt wiele krwi, mogło by stracić i życie.

JÓZIO.

Jak by to przykro było! przyznaję że lepiéj wiedzieć wiele jak mało.

MATKA.

A w przeszłym roku chodząc po lesie pamiętacie nasze spotkanie ze starą Reszkową?

JÓZIO.

Pamiętam i to;— usłyszeliśmy głośny płacz i wyrzekanie w zaroślach, a przybiegłszy prędko na miéjsce zkąd pochodziło, zobaczyliśmy Franka i Magdusię płaczących gorzko, Reszkową zaś stojącą między nimi i łającą ich okropnie.

MATKA.

Za cóż ich tak łajała?

JÓZIO.

Zapomniałem doprawdy, ale od tego czasu nie lubię Reszkowéj; to i tak biédne dzieci, nie mają ani ojca ani matki, po cóż ich jeszcze zasmucać?

MATKA.

Czy i ty Antosiu nie pamiętasz o co się tak gniéwała staruszka?

ANTOSIA.

Podobno o to że Franek nazrywał leśnych wisien na poléwkę, a Magdusia pełny koszyk czerwonych grzybów uzbierała.

JÓZIO.

Widzi mama jaka Reszkowa nie dobra! cóż jéj to szkodziło że biédne dzieci

znalazły w lesie obiad dla siebie? a przypominam sobie że wyrwała im koszyk i wiśnie i grzyby rozsypała z gniéwem po lesie.

MATKA.

A widzi Józio jak to źle mało wiedzieć i nie zastanawiać się nad niczém, nie lubisz poczciwéj staruszki, powstajesz na nią za to że dwie sieroty uchroniła od śmierci.

ANTOSIA I JÓZIO.

Jakto mamo?

MATKA.

To, co wy i tamte dzieci wzięły za wiśnie, był owoc *pokrzyku* ładny na pozór ale zawierający najziadliwszą truciznę, grzyby zaś były to fałszywe smardze i muchary których używają tylko

na wygubienie szkodliwych owadów, które jeżeli nie otrują od razu sprowadzają przynajmniej długie i przykre odurzenie.

JÓZIO.

Dziwna rzecz że te dzieci, mieszkając tak blisko lasu i prawie całe życie zbierając grzyby nie znały ich jeszcze.

MATKA.

Czy byś ty Józiu mógł rozróżnić pożyteczne od szkodliwych choć je nie raz zbierałeś?...

JÓZIO.

Zdaje mi się że nie; ależ mnie to nie potrzebne, gdybym złych grzybów nazbierał i przyniosł do domu to by ich kucharka nie usmażyła.

MATKA.

Dla czegóż więc prosta kucharka ma więcéj wiedzieć od ciebie?

JÓZIO.

Bo to jéj powinność znać wszystko co dobre do jedzenia.

MATKA.

A gdybyś nie miał kucharki?

JÓZIO.

Och mamo! przecież sam bym jeść nie gotował.

MATKA.

Czemu nie? wszak Adamek choć także chłopczyk i nie wiele starszy od ciebie, przyrządza nie raz jedzenie dla siebie i dla matki.

JÓZIO.

To co innego, oni tacy biedni!

MATKA.

Skądże Józio wié że i my nigdy biednymi nie będziemy? a potem, zważ że nawet bez tego, gdybyś kiedy sam był w podróży, gdybyś się tylko na przechadzce w lesie zabłąkał, i chciał się czém posilić, jakby to dobrze było znać co posilne i smaczne, co przykre lub szkodliwe.

ANTOSIA.

To prawda mamo, ale na poznanie wszystkiego bardzoby dużo czasu było potrzeba.

MATKA.

Jeszczeście też bardzo młodzi, jeszcze się wiele nauczyć możecie. Bóg tyle pięknych i miłych rzeczy dał do użytku człowieka, że gdybyśmy się nie starali

poznawać ich, musielibyśmy być bardzo niewdzięcznemi. Pamiętacie jeszcze ową przechadzkę do *Grabowa* gdzieśmy się tak dobrze ubawili?

JÓZIO I ANTOSIA.

O pamiętamy!...

MATKA.

Nie zapomnieliście też co nam się w drodze przytrafiło?...

ANTOSIA.

Ja nie zapomniałam; bo nigdy jeszcze nie byłam tak zmęczoną i spragnioną jak w tenczas.

JÓZIO.

Szliśmy też tak pomału że zamiast godziny, potrzebowaliśmy prawie pół dnia na drogę.

ANTOSIA.

Bo babunia chciała iść z nami a ona prędko chodzić nie może.

JÓŻIO.

Biedna babunia! jak się też utrudziła! a jak jéj się pić chciało!

ANTOSIA.

Jak nam wszystkim; jednak cieszyliśmy się że jak dójdziem do stawku co był na połowie drogi, ochłodzimy się świéżą wodą....

JÓZIO.

Tylko nikt nie przewidział że z wielkiego gorąca stawek prawie wysechł, i zamiast czystéj wody były w nim jakieś zielone zgręzy.

ANTOSIA.

Jeszcze mi żal babuni, jak wspomnę że z pragnienia i gorąca na pół omdlała usiadła pod drzewem; a przecięż nie skarżyła się jak my, nie wyrzekała....

JÓZIO.

Dobrze że w tenczas Grzela był z nami, bo kto wié czy bez niego nie pomdlelibyśmy wszyscy.

MATKA.

Cóż on zrobił? nie pamiętam....

ANTOSIA.

Nie pamięta mama jak zerwał duży i gruby liść nad brzegiem wody? potém nożykiem naciął korę drzewa pod którém siedzieliśmy wszyscy, wsunął liść zwinięty pod korę i nie długo, jakby

z lejka zaczął się sączyć jakiś sok czysty, słodki, smaczny jak wino.

JÓZIO.

Jakeśmy też pili!

MATKA.

Prawda! ale jakież to było drzewo?

ANTOSIA.

Brzoza; Grzela powiedział że na wiosnę każda brzoza taki sok wydaje, i że w niektórych miéjscach chowają go w piwnicach na zimę.

JÓZIO.

Jednak to i od prostych ludzi można się czegoś nauczyć; dawniéj, myślałem że w polu tylko wody napić się można, ale teraz bylem miał nożyk przy sobie,

to się i w lesie pragnienia nie boję; nie wielka rzecz narznąć korę jakiego drzewa.

MATKA.

Naprzykład starą sosnę; w gorący dzień pewnoby z niej popłynęła żywica.

JÓZIO.

Żartuje mama! alboż to żywica z drzewa płynie?... alboż nie każdego drzewa sok tak smaczny jak brzozowy?—

MATKA.

Kamfora tak mocno pachnąca, manna którą czasem za lekarstwo używacie jest także stwardniałym sokiem drzewa; jak ci się zdaje Józiu czy ugasił byś pragnienie takim napojem?....

JÓZIO.

Ach mamo to takie nie smaczne!

MATKA.

Widzisz więc że chcąc korzystać z darów Boga trzeba się starać poznać je wprzódy; — nie dość jest tu i ówdzie słówko pochwycić, nie należy spuszczać się na drugich. — Bóg każdemu człowiekowi dał osobny wzrok, rozum i serce, żeby każdy sam patrzył, rozważał, i czuł ile winen Stwórcy świata; żeby mu potém odwdzięczał się za to. —

ANTOSIA.

Alboż Bóg potrzebuje naszéj wdzięczności?

MATKA.

Zapewne że nie! lecz powiedz mi Antosiu kiedy ojciec wasz lub ja zrobimy co dla was, czy potrzebujemy, czy żądamy podziękowania?

ANTOSIA.

Ja wiem że nie!

MATKA.

Dla czegóż więc dziękujesz?

ANTOSIA.

Bo ja sama potrzebuję okazać że mię to cieszy, bo gdybym nie dziękowała zdawałoby mi się żem nie godna waszego daru. —

MATKA.

Gdyby też teraz ojciec wróciwszy z podróży, przywiózł dla każdego z was, szkatułkę pełną pięknych i użytecznych rzeczy, a wy gdybyście tak byli obojętni żeby wam się nawet nie chciało otworzyć z klucza i zobaczyć co się w niej znajduje?...

JÓZIO.

Och! toby było niewdzięcznie! toby tatkę pewnie zmartwiło.

MATKA.

Odpowiedz że mi jeszcze Józiu jak nazwać człowieka któryby mógł obojętnie patrzeć na wszystko co się na ziemi znajduje, który mając rozum, nie chciałby go użyć na poznanie darów Boga; i żałując czasu wolałby być podobnym zwierzęciu, nic nie wiedzieć, nic nie umieć, i ani sobie ani drugim na nic się nie przydać? —

JÓZIO. (rzucając się matce na szyję)

Mamo ja takim nie będę. — Ty mię nauczysz jakim sposobem można poznać wszystko co jest na świecie, jakim sposobem choć w części wywdzięczyć się Bogu.

MATKA.

Wszystkiego ani ja, ani nikt z ludzi poznać nie może; ale nabywać tyle wiadomości ile jest w naszéj mocy, w każdéj rzeczy szukać śladu dobroci Boga, wszystkiego co poznamy używać na dobro naszych bliźnich, oto jest sposób podziękowania Stwórcy.—

ANTOSIA.

Daruj droga Jmamo! może znów co niedorzecznego powiem, ale zdaje mi się że na świecie nie wszystko jest potrzebne, że nawet często widzimy takie rzeczy gdzie wcale nie znać żeby Bóg był dobry.

MATKA.

Przykro mi lube dziecię słyszeć z ust twoich podobne słowa, i żałuję bardzo

że się już dziś nie dowiem co ci taką myśl podało; ale patrz, państwo D... zajeżdżają przed ganek, muszę iść na ich przyjęcie; wy zaś, Józiu i Antosiu możecie tym czasem pobiegać po ogrodzie.

ROZMOWA VI.

BÓG WSZYSTKIEM DOBRZE RZĄDZI.

MATKA.

Powiedz mi dziś Antosiu, dla czego mówiłaś wczoraj, że nie zawsze widać dobroć Boga?

ANTOSIA.

Dla wielu rzeczy! ale boję się droga mamo żeby cię nie rozgniewać, bo możem ja źle uważała.—

MATKA.

Owszem, opowiedz mi wszystko co myślisz żebym cię mogła dobrze zrozumieć, i objaśnić jeżeli błądzisz.—

ANTOSIA.

Dobrze, więc powiem; — nie zapomniała mama pewno, jak to kiedy na wiosnę śniegi stopniały, strumień co za wsią płynie wezbrał ogromnie?

MATKA.

Nie mało wtedy mieliśmy szkody, ale cóż to ma do naszéj rozmowy?

ANTOSIA.

Zaraz mamo!— otóż kiedy woda zalewała nasze łąki, pola, kiedy i ty i tatko rachowaliście nową stratę co godzinę, smutno mi było, ale pocieszałam się tém że choć nam trochę dostat-

ków ubędzie, jeszcze wiele zostanie. — Do tego dnia, ja tylko kochałam Boga; ale kiedy w nocy strumień nagle się obrócił, i zamiast na pole, spadł na chatę Filipa, wtedy mamo zaczęłam się lękać. —

MATKA.

Dla czego?...

ANTOSIA.

Bo zawsze słyszałam że Bóg sprawiedliwy dobre nagradza, złe karze; a tu zupełnie inaczéj się stało. — Filip co nigdy nic robić nie chciał, co nie myślał ani o żonie, ani o dzieciach chyba wtedy. gdy ich chciał bić i łajać, wrócił właśnie nie trzeźwy z drugiéj wsi, spał na górze i ocalał; — ale biédna jego żona, taka dobra, pobożna, pra-

cowita, obudziła się w izbie w śród wody;— ledwie zdążyła wynieść pod strzechę dwoje dzieci; wracała po trzecie najmłodsze, usunęła się z drabiną, i ją i biednego *Felka* woda bez ratunku zalała.

MATKA.

A tobie Antolko zdaje się że by wcale przeciwnie stać się powinno?

ANTOSIA.

Zapewne! a potem jeszcze, jak sobie przypomnę tego biednego Andrzeja..... doprawdy mamo że ja się bardzo Boga boję!......— Dawniej kiedy sobie pomyślałam wieczorem że przez cały dzień byłam grzeczna, żem nie rozgniéwała nikogo, że pobożnie pacierz zmówiłam, tom zasypiała tak spokojnie, bo byłam pewna że Bóg strzeże dobrych i pobożnych lu-

dzi,—ale teraz widzę że to nie dosyć;— Filipowa była najlepszą, najpracowitszą z całéj wsi a przecięż utonęła —Andrzéj taki pobożny, tak się zawsze długo modli w kościele, nawet w tenczas kiedy taka okropna burza powstała, wyszedł na dwór, i z poświęconym dzwonkiem chodził koło domu żeby chmury rozpędzić, a tu właśnie kiedy on w najlepsze śpiewał nabożne pieśni, piorun uderzył w dach, i cały dom mu spalił.—

MATKA.

Widzę lube dziecię, że się zastanawiasz i myślisz wiele, ale słuchaj mię Antosiu; ile razy nowa myśl jaka przyjdzie ci do głowy, natychmiast mów ze mną o tém. Twój rozum jeszcze za słaby żeby mógł sądzić o ważnych rzeczach,

najrozumniejsi nawet ludzie nie mogą często odgadnąć dla czego Bóg tak a nie inaczéj rozrządził, cóż dopiero dziecię! Powtarzałam wam już wiele razy że wszystko co tylko Bóg nam zeszle należy z wdzięcznością przyjmować, że czasem to co nam się nieszczęściem zdaje jest największém dobrodziejstwem. ...

J Ó Z I O.

Ach mamo to trudno zrozumieć! alboż to dobrodziejstwo dla biednego Andrzeja że mu się cały dom spalił i że teraz u drugich mieszkać musi?

M A T K A.

Kto wie?... najprzód zastanówmy się czy Andrzéj sam nie był swojéj szkody przyczyną.

ANTOSIA.

Jakże mamo, kiedy on chodził około domu dzwoniąc w Loretański dzwonek?

MATKA.

Może słyszałaś kiedy, jak z początkiem lata ksiądz proboszcz ostrzegał włościan w kościele, aby w czasie grzmotów drzwi i okna były zamknięte, żeby nie stawać pod drzewem, żeby blisko domu nie składać wełny, miedzi i żelaztwa, bo te wszystkie rzeczy przyciągają pioruny.

ANTOSIA.

Słyszałam mamo.

MATKA.

Otóż w chacie Andrzeja komin był otwarty, on sam wychodząc za próg drzwi nie zamknął i ztąd powstał mo-

cny przeciąg powietrza; tuż pod oknem leżała kupa gospodarskich narzędzi, każde z nich żelazne albo żelazem okute, to wszystko mogło już przyciągać piorun powoli, a skoro Andrzej wyszedł z miedzianym dzwonkiem i zaczął jego odgłosem poruszać powietrze, sprowadził go sam na komin otwarty w dachu.

ANTOSIA.

To być może mamo; ale po co pioruny padają, kiedy z nich tyle szkody i zmartwienia?

MATKA.

Pioruny wstrząsają i oczyszczają powietrze którem oddychamy; gdyby go nic nie poruszyło zepsułoby się jak stojąca woda, powstałyby choroby na bydło i ludzi.

JÓZIO.

Kiedy tak, to i pioruny potrzebne choć czasem tam padają gdziebyśmy nie chcieli.

MATKA.

Tak moje dziecię, wszak ogień i woda także są potrzebne choć się jednym sparzyć, w drugiéj utopić można.

ANTOSIA.

Pierwszy raz słyszę tyle o piorunach; ale mamo, dla Andrzeja jednak nic z nich dobrego nie przyszło.

MATKA.

Bardzo wiele! wiecie jak on zawsze był pobożnym, i kiedy stracił mienie nie wyrzekał, nie rozpaczał, powiedział tylko »Bóg dał, Bóg wziął, niech się dzieje wola Jego.« ale nie wiecie mo-

że, że ten Andrzej taki cichy, bogobojny, nie postępował jak prawdziwy chrześcijanin; kiedy ukończył całodzienną robotę i odmówił modlitwy, zdawało mu się że już wszystko zrobił co był powinien, nie pomyślał nawet że człowiek nie tylko o Bogu i o sobie, ale o swoich bliźnich także ma pamiętać. Otóż dopiero po smutnym swoim wypadku, kiedy został bez domu, bez odzienia prawie, kiedy sąsiedzi zbiegli się do niego, i ochoczo wsparcie znosić zaczęli, kiedy jeden ofiarował mu mieszkanie, drugi ubiór, trzeci robotę, w tedy dopiero Andrzej uczuł jak to musi być słodko żyć z ludźmi, i zasłużyć sobie na ich przyjaźń. — Odtąd przestał zamykać się sąmotnie, rozmawia z sąsiadami, pomaga im w pracy, radzi w gospodarstwie, i co dzień powtarza że

daleko jest szczęśliwszy teraz, kiedy wszyscy śmiało i wesoło zbliżają się do niego, jak dawniéj, kiedy dla wielkiéj pobożności i oddalenia od drugich, nikt prawie przystąpić nie śmiał do niego.—

ANTOSIA.

To prawda że Andrzéj teraz weselszy niż dawniéj; może mama i słusznie mówi, może jemu ten piorun nie tak wielką szkodę wyrządził jak mi się zdawało.

MATKA.

Pomów z nim sama przy spotkaniu, a przekonasz się że on tego wypadku nie uważa za nieszczęście; ma jeszcze dość sił i zdrowia, przy pomocy Boga i dobrych ludzi może na nowo przyjść do dobrego bytu, a przez ten czas ma

znowu mocne zajęcie, musi żyć z sąsiadami, nie będzie mógł zdziczeć, nie będzie śmiał wynosić się nad drugich, bo poznał że nie tylko ten Boga chwali kto po dniach całych na modlitwie przepędza, ale i ten co wielbiąc swego stwórcę, dopomaga bliźnim o ile może.

JÓZIO.

Choć ja to co mama powiedziała, nie zupełnie zrozumiałem, ale może to być prawdą bo Andrzéj jeszcze żyje. Ależ mamo ta biedna Filipowa!

ANTOSIA.

O! téj to nie wiem co dobrego powódź przyniosła.

JÓZIO.

Dla niéj się już wszystko skończyło...

MATKA.

W tém życiu, ale nie w przyszłém, czy moje dzieci zapomniały że się dla nas nie wszystko kończy w tedy kiedy ciało umiera.

ANTOSIA.

Ja wiem że w tedy zostaje jeszcze dusza nieśmiertelna; jednak mnie się zdaje że zawsze lepiéj, żyć długo na ziemi.

MATKA.

Nie dla wszystkich.—Wiecie że śmierć jest dla naszego ciała tylko długim snem; teraz powiedzcie: kiedy czasem są u nas goście, kiedy się do was dużo dzieci zjedzie, kiedy się bawicie, jecie ciasta, owoce, a w tém wybije dziesiąta godzina i trzeba iść do łóżka, czy to przyjemnie?

JÓZIO.

Oj nie! nie!

ANTOSIA.

A więc ja prawdę mówiłam że to musi być smutno zawcześnie umierać.

MATKA.

Zepewne, kiedy komu życie schodzi przyjemnie i wesoło. — Widzę że Antosia rozumie porównania; uważajże jeszcze. — Chorowaliście już oboje, wiecie jak to przykro kiedy co l ol , jak nas w ten zas nic nie i szy, j kbyśmy chcieli zapomnieć o cierpieniu, jakiemby to było szczęściem gdyby nam powiedziano »zaśnij« a sen jak na zawołanie zamknął nam powieki. —

ANTOSIA.

Ach! to prawda. —

MATKA.

Lubisz się zastanawiać Antosiu; pomyśl więc czy Filipowéj życie było przyjemném?... Kiedy ona pracując przez cały tydzień zarobiła tyle że jakiś czas mogła siebie i t oje dzieci wyżywić, a mąż zabrał cały jéj zarobek, przepił, zmarnował, ją i dzieci wyłajał i wybił; kiedy biedne dzieciny tuląc się do matki płakały z bólu i głodu, a ona drząc sama musiała ich cieszyć i uspokajać tajemnie żeby nieczułego ojca mocniéj jeszcze nie rozdrażnić; kiedy wyszła czasem do wsi, a ze wszystkich stron obijały się jéj o uszy przekleństwa i skargi na burzliwego męża; czy mogła ona lubić takie życie? czy dla niéj śmierć bez długich cierpień była nieszczęściem?...

ANTOSIA.

Ach dobrodziejstwem! szczęściem droga mamo!

JÓZIO.

Ale co się to tam z biednemi dziećmi dziać musi!

MATKA.

Widziałżeś je po śmierci matki?

ANTOSIA.

Ja je widziałam, wcale nie źle były ubrane i czerstwo wyglądały.

MATKA.

Wiecież pod czyim one teraz zostają dozorem?

JÓZIO.

Podbno tylko Filip zajmuje się niemi.

ANTOSIA.

To dziwna rzecz!

MATKA.

Zapewne a co dziwniejsza, to że od śmierci żony ani jedna skarga nie zaszła na niego do dworu, ani razu w karczmie go nie widziano.

ANTOSIA.

Już ja widzę, mama nas dziś przekona że straszny przypadek Filipowej szczęściem był dla niej i dla całej jej rodziny. Tylkoż jakim sposobem Filip tak się prędko odmienił.

MATKA.

Złe nałogi są chorobami duszy; jeżeli za nadto opanują człowieka nie ma już ratunku, ale jak w słabości mocne

choć przykre lekarstwo może powrócić do zdrowia, tak mocne choć bolesne strapienie może człowieka od złych nawyknień wstrzymać. Znać że Filip nie był jeszcze złym zupełnie; pewno nieznacznie polubił próżniactwo i pijaństwo, może nie raz wychodząc rano z domu postanawiał sobie pracować przez dzień cały, ale przeszedłszy koło karczmy nie mógł się oprzeć chęci skosztowania napoju, lub posłuchania gawędki gospodarza; tak pewnie szło przez czas długi, wróciwszy nie trzeźwym do domu nieszczęśliwy nie uważał na smutek żony, nie miał sił do rozwagi, rzucał się na spoczynek, i rad był jeśli mu go nie przerywano.

JÓZIO.

To by jeszcze nic nie było; ale Filip

bił żonę i dzieci, zaczepiał sąsiadów i różne im szkody wyrządzał.

MATKA.

To wam dowodzi że człowiek który nie tak żyje jak powinien, ani sobie ani drugim miłym być nie może; kiedy kto nie kontent sam z siebie wszystko mu się złem i przykrém zdaje; tak się zapewne działo z Filipem;— jeżeli spotkawszy pijanego wieśniacy ustępowali mu z drogi, czuł on że nim gardzą, i chcąc się pomścić za wzgardę szukał zaczepki;— jeżeli przyszedłszy do domu zobaczył żonę spłakaną lub wymówkę od niéj usłyszał, wiedział że na to zasłużył, ale nie miał dość rozsądku żeby się poprawić, zdawało mu się że przeprosić kogo za winę było by poniżeniem, chciał jak to mówią nadrobić

miną, fukał, łajał, hałasował, póki drugich i sam siebie nie zagłuszył, póki w siebie nie wmówił, że dobrze postępuje i że nikt nie ma prawa udzielania mu rady lub napomnienia.— Otóż jak wam powiedziałem, na mocną chorobę mocnego potrzeba lekarstwa; Bóg zesłał na Filipa śmierć żony i stratę reszty szczupłego mienia, nieszczęście zastało go trzeźwym;— od razu stanęło mu na myśli całe przeszłe życie, wszystkie przykrości których żona i dzieci doznały od niego, a nie mogąc ich pierwszéj nagrodzić, postanowił żyć dla tych co zostały.— Może nie raz brała go chęć wrócenią do próżniactwa, ale kiedy przyszedłszy do chaty nie zastał jak dawniéj ognia ni wieczerzy, nie usłyszał łagodnego głosu, bo biedne sieroty nie mając matki kryły się w kąty

przed zachmurzoném czołem ojca, wtedy musiał wejść w siebie, musiał się zastanowić, a za rozwagą żal i poprawa wracały.

ANTOSIA.

Ale moja mamo! jednak dzieciom Filipa smutniéj teraz jak dawniéj, możeby one wolały być przy matce choć w większym jak teraz niedostatku.

MATKA.

Być może; ale przynajmniéj teraz nie zbywa im na niczém, ojciec sam się poprawiwszy myśli szczerze o ich wychowaniu, posyła ich do szkoły, prowadzi do kościoła na naukę.....

ANTOSIA.

I Filipowa to wszystko robiła, mamo!

MATKA.

Widzę że byś się nie rada dać przekonać, że tak jak Bóg rozrządził jest najlepiej dla nas; już więc tylko kilka słów ci powiem: — któż wie czy biedna kobieta w pracy i zmartwieniu długo by była pożyła? a po tém na cóżby się zdały napomnienia nauczyciela i proboszcza gdyby dzieci w domu zły przykład widziały? gdyby im mówiono: «uczcie się, pracujcie, chwalcie Boga i kochajcie bliźnich« a ojciec ich nic nie robił, nigdy nie mówił pacierza, i kłócił się z wszystkimi?

JÓZIO.

Ciekawym co też moja mądra siostrzyczka na to jeszcze odpowie, bo ja to bardzo dobrze widzę, że w chacie Filipa nie mogło się obejść bez wielkie-

go zmartwienia dla niego jeżeli się miał poprawić.

ANTOSIA.

I ja nic więcéj nie powiem, bo przekonywam się że choć to całe zdarzenie jest smutném i przykrém, ale jednakże wyszło na dobre.

MATKA.

Teraz zaś dzieci moje pamiętajcie jeszcze tę jedną przestrogę; — dobrze jest zastanawiać się i zgłębiać dzieła Boga aby Go wielbić i chwalić; ale nie godzi się dochodzić wszystkiego, nie godzi się pytać zawsze dla czego On zrobił tak, a nie inaczéj? czasem potrafimy odgadnąć cel naszego Stwórcy, ale najczęściéj nasz rozum za słaby na to. Najlepiéj więc przyjmować wszystko

pokornie, dziękować za dobre i za to nawet co się nam przykrem zdaje, i powtarzać sobie zawsze że Bóg nas kocha, że chce naszego szczęścia, i że dla tego należy mu ufać we wszystkiem.

J Ó Z I O.

Ach mamo! ja to rozumiem! to tak jak kiedy ty mi każesz robić co mi się nie bardzo podoba, z początku się namyślam, ale po tém mówię sobie, pewnie to tak być powinno, mama chce żeby mi później dobrze było, ona nas tak kocha!

M A T K A.

Zważ więc jakim by występkiem było żądać we wszystkiem rachunku od Boga, kiedy rodzice ani w tysiącznéj części tak swych dzieci kochać nie mogą jak on ludzi ukochał.

ANTOSIA.

To ja okropnie byłam niewdzięczną! ależ mamo, kiedy Bóg tak nas kocha to mi pewnie daruje?

MATKA.

Tak się spodziewam kochana Antosiu, ale pamiętaj, co ci się tylko w całém życiu złego lub dobrego zdarzy, nie myśl nigdy: dla czego? lecz powiedz sobie w duszy: »Bóg tak chciał.« —

ROZMOWA VII.

ROŚLINY.

JÓZIO.

Widzisz Antosiu jak to źle brata nie słuchać; — powiedziałem że jak tę lewkonię do kloniku przesadzisz to uschnie, i uschła.

ANTOSIA.

Prawda że na ten raz masz słuszność, ale dla czego krzaczek ten zniszczał? bo

wiem z pewnością że kwiaty nie mają takich dziwactw jak ty utrzymujesz.

JÓZIO.

Ot! znowu mi nie wierzy; kiedy ci powiadam z pewnością, że kwiaty tego klombu nie lubią.

ANTOSIA.

Czy to może być mamo?

MATKA.

W rzeczy saméj żaden kwiat nie chce się przyjąć w tym klombie, ale nie z kaprysu, tylko dla tego że to jest miéjsce suche, zacienione, a zatem rośliny nie mają tu tyle światła i pożywienia ile im potrzeba.

JÓZIO.

Alboż rośliny potrzebują pożywienia?

MATKA.

Wszystko co żyje potrzebuje posiłku.

JÓZIO.

Tak, to co żyje; ależ żaden kwiat nie chodzi, nie rusza się o swojéj mocy.

MATKA.

Jednakże żyje; — patrz na ten krzaczek jasminu: jak świeży, jak listki jego zielone, jak kwiaty pachną; — a ten drugi zeschły, zwiędły, już ani barwy ani woni w nim nie ma, któryż z nich żyje?

JÓZIO.

Jeżeli mama tak uważa, to pewno że ten żyje co świeży; ależ co żyje, czy ptak, czy zwierzę, czy człowiek, to zabić można, a krzaku ani drzewa nikt

przecię nie zabije; chyba by zrąbać trzeba; — i tak jeszcze widziałem jak ścięte drzewo zieleniło się długo, dopóki po tém samo nie uschło.

MATKA.

I z tego sobie ułożyłeś że ono ani żyło, ani zabitém zostało? — Otóż żeby się przekonać iż rośliny żyją zacznijmy uważać tę lewkonję. — Wykop dwa jéj krzaczki, jeden świeży drugi zeschły..... Wiesz jak się zowie część rośliny zapuszczona w ziemię?

JÓZIO.

To korzeń.

MATKA.

Korzeniem jak my ustami przyjmuje roślina pożywienie, czyli wilgoć w

ziemi zawartą. — Teraz przełam pień kwiatu; — wiesz co to pień?

JÓZIO.

Ta prosta łodyga nad korzeniem.

MATKA.

Oderwij teraz od pnia gałązkę i przypatrz się dobrze rozdzielonym miéjscom. Cóż tam widzisz?

JÓZIO.

Nic,— chyba to że się jakiś sok sączy z każdéj łodygi.

MATKA.

Czy w całéj téj łodydze jak ją nazywasz tylko sam sok się mieści?

JÓZIO.

Nie; są jeszcze jakby cienkie nitki ciasno jedna przy drugiéj ułożone.

MATKA.

Te nitki czyli włókna, są u roślin tém, czém żyły u ludzi i zwiérząt;— jak w nas krąży krew, tak tu krążą soki które korzeń z ziemi wyciągnął; włókna te rozchodzą się do każdéj gałązki, do każdego listka, do najdrobniejszéj kwiatowéj nitezki, i póki starczy wilgoci żywią zarówno maleńki krzaczek jak ogromne drzewo.— Jeżeli chcesz się przekonać czy to prawda rozważ zeschłą lewkonję.

JÓZIO.

Ach prawda mamo! tu od korzenia aż do kwiatu nie ma i kropelki soku, a żyłki tak wyschły żeby je wszystkie policzyć można.

ANTOSIA.

Ale czy tylko z téj jednéj przyczyny

rośliny umierają kiedy im brak żywności? pamiętam że mi nie jeden kwiat usechł choć go co dzień świeżą wodą polewałam.

MATKA.

Może się robak zakradł i korzenie podgryzł; może nie było dość ciepła i światła.

ANTOSIA.

Czy światło koniecznie roślinom potrzebne?

MATKA.

Koniecznie; tylko mchy krzewią się w ciemnościach, lecz inne rośliny niechaj rosną w ciemném jakiém miéjscu, a tylko maleńkim otworem niech do nich światło dochodzi, wszystkie gałązki swoje ku niemu obrócą, wszystkie

od strony światła żywsze i zieleńsze będą.

ANTOSIA.

Dziwna rzecz!.... ależ to zawsze smutne takie roślinne życie; stać w jedném miéjscu, nie być w stanie ani się poruszyć, ani obronić!....

MATKA.

Prawda że przed gwałtownęm niebezpieczeństwém roślina zasłonić się nie może, lecz ma ona uczucie albo raczéj przeczucie zwyczajnych, codziennych przykrości, i starannie ich unika.

JÓZIO.

Jakim że to sposobem?

MATKA.

Wskażę wam kilka przykładów; po-

wój błękitny, którego delikatna barwa nie zniosła by nocnego chłodu, zamyka liście kwiatowe z wieczora i nie otwiéra ich aż o wschodzie słońca; — jeżeli długo panowała susza, a deszcz ma nastąpić, rośliny spragnione orzeźwiającéj wilgoci podnoszą w górę gałązki, liście zwijają w kształt rurek, ażeby mogły łatwiéj uchwycić kropelki deszczu i spuścić je łodydze i korzeniom; jeżeli zaś deszcz trwa za długo, rozwijają się liście jak można najszérzéj, pochylają się ku ziemi, aby po gładkiéj powierzchni woda daleko spływała; — na wiatr szérokie liście zbliżają się ku sobie, ściskają się w jak najszczupléjszą przestrzeń, jak gdyby wiedziały że im mniéjsza i cieńsza gałązka, tém się łatwiéj przed burzą i wichrem ostoi. —

JÓZIO.

Ja na to nigdy jeszcze nie uważałem.

ANTOSIA.

Ani ja.

JÓZIO.

Ale powiédz mi mamo; (bo już teraz rozumiem że rośliny żyją) powiédz mi czy one kiedy chorują?

MATKA.

Często bardzo;—nie raz widzimy listki i gałęzie pochylające się, więdnące kwiaty, usychające łodygi, ale rzadko kiedy ludzie odgadną istotną tego przyczynę.—

JÓZIO.

Może też czasem tak jak my za wiele sobie pozwolą.—

ANTOSIA.

Ha! ha! ty myślisz że się kwiaty mogą nadto najeść lub napić?

MATKA.

Zdarza się i to, że rośliny zbyt wiele soków nabrawszy stają się ociężałe- lecz zaradzono temu aby im takie przesycenie nie szkodziło.

ANTOSIA.

Jakże to?

MATKA.

Każda część rośliny, od korzeni aż do najdrobniejszéj szypułki ma na sobie mnóstwo otworków których okiem, dojrzeć nie można, jedne z nich przeznaczone są na wciąganie powietrza, drugie zaś na wyziewanie czyli wypuszczanie zbytecznych soków.—

JÓZIO.

Ależ tego nie widać.

MATKA.

Nie widać na piérwszy rzut oka, bo wyziewy te są jak najdelikatniéjsza para, która się zaraz w powietrzu rozchodzi;— lecz na wszystko są sposoby, i tak przykrywszy roślinę szkłannym dzwonem, u rzymy wyziewy jéj osiadające na szkle jak para, późniéj zbierające się w kropelki, a tak można się nawet dowiedzieć jak wiele zbytecznych soków roślina tym sposobem zwraca.—

ANTOSIA.

Nie wié mama ile téż to być może?

MATKA.

Nie zawsze jednakowo, lecz pow: .

dano mi, że jedna łodyga słonecznika z kwiatem i liściem, wydała tym sposobem funt wody w jednym dniu.

ANTOSIA.

Droga mamo! jak też to w najmniejszéj rzeczy widać mądrość i dobroć Boga! jak on wszystko przewidział! każde stworzenie zabezpieczył. —

JÓZIO.

I wszystko w jednym tygodniu! jabym przez tydzień ledwie wszystkie rośliny zrachował.

ANTOSIA.

Gdybyś je znał jeszcze.—Ale przecięż Bóg nie same rośliny stwarzał przez tydzień.

JÓZIO.

Ja wiem;— jednego dnia powiedział Bóg:— niech ziemia wyda trawy, zioła,

drzewa, i różne rośliny, a każda z nich niech ma w sobie nasienie. I stało się...

ANTOSIA.

Mnie się zdaje że Bóg w końcu dla tego stworzył człowieka, aby on miał staranie o wszystkiém na ziemi, żeby uprawiał ziemię, żeby ją zasiéwał, bo inaczéj znów by się zrobiła pustą jak dawniéj.

MATKA.

Mylisz się Antosiu; Bóg kazał człowiekowi pracować, ale tylko na swoje wyżywienie; ziemia zaś nie potrzebuje stróża ani dozorcy, wszystko na niéj tak jest urządzone, że niczyjéj nie potrzebuje pomocy.—

ANTOSIA.

Oj! co nie, to nie; — na cóż by się naprzykład przydało nasienie roślin,

gdyby nie było komu zebrać go, ususzyć, i zasiać na nowo?

MATKA.

Jak myślisz? co by się też stało z nasiennemi ziarnkami gdyby ich ludzie nie zbierali?

JÓZIO.

Poszłyby z wiatrem, alboby spadły na ziemię.—

MATKA.

A spadłszy, czy sądzicie żeby nie zeszły tak dobrze jak gdy je człowiek rzuci?

ANTOSIA.

Może żeby zeszły, ale jużby to tak dobrze nie było, bo w jedném mjéjscu było by roślin za nadto, a w drugiém nic.—

MATKA.

Któż wié? może i na to Bóg przewi-

dział środki; — i tak: wielkie drzewa które stojąc blisko siebie przeszkadzałyby jedne drugiém, mają nasiona tak utworzone że je najlżéjszy wiatr porwać i daleko unieść może. — Nasiona roślin nadwodnych mają jakby błonki, na których płyną z wodą bez uszkodzenia. Inne opatrzone są w haczyki, któremi czepiają się przechodzących zwiérząt lub ptaków, i z nimi w inne przechodzą strony. — Nie raz w gorących krajach widziano rośliny uprawiane na północy; na wysokich górach, gdzie jeszcze nie mieszkali ludzie, można spotkać kwiaty i zioła rosnące w oddalonych dolinach. — Widzicie więc że Bóg nie potrzebuje pomocy człowieka do zachowania swego dzieła.

JÓZIO.

Na cóż więc ludzie tak pracują? —

po co orać, włóczyć, siać, kiedy i bez tego wszystkoby wyrosło?

MATKA.

Powiedziałam już że człowiek dla siebie, dla swojéj dogodności pracuje;— gdyby się spuścił na takie rozmnożenie roślin, jak niem wiatr, woda, lub ptaki pokierują, gdzieżby szukał zbioru?— Chcąc mieć każdy gatunek osobno, w znacznéj ilości, w bliskiém i dogodném dla *siebie* miéjscu, musi sobie zadać trochę pracy i zachodu.—

ANTOSIA.

Rozumiem mamo;— ale chciałabym wiedzieć czy też to prawda że rośliny tak się bardzo rozmnażają, że aż poszło w przysłowie, »ziarnko zboża w ziemi, to dukat w kieszeni»—

MATKA.

Łatwo w to uwierzyć gdy pomyślimy ile to ludzi, zwierząt, ptaków, żywi się zbożem, a przecięż co rok i na zasiew, i na schowanie jeszcze wystarczy.—

JÓZIO.

Więc moja mamo, jakby to długo trzeba czekać żeby z jednego ziarnka zebrało się do prawdy tyle co dukata warto?—

MATKA.

Zadawszy sobie cokolwiek pracy możnaby to w krótce obrachować; jedno ziarno wrzucone w ziemię wyda przy urodzaju ziarn 20, plon pomnaża się więc co rok o 20 razy, i chcąc rozwiązać pytanie Józia należy tylko obliczyć

ile lat trzeba czekać na pół korca przenicy, bo za nie dopiero można wziąść dukata.

ANTOSIA.

A ileż powinno być ziarn w półkorcu?

MATKA.

Nie liczyłam, ale wiem że w kwaterce jest ich 5,000.

ANTOSIA.

O! już ja to sobie wyrachuję. —

ROZMOWA VIII.

ŹRODEŁKO W SASKIM OGRODZIE

ANTOSIA.

Patrz mamo! jakieś wiersze w Kurjerze, który Franciszek właśnie z poczty przyniósł. — Czy można przeczytać?

MATKA (spójrzawszy na Kurjera)

Owszem! czytaj.

ANTOSIA (czyta)

W Saskim ogrodzie
Było źródełko gościom ku wygodzie,
A przy źródełku blaszany kubeczek;
Ale się gościom zachciało szklaneczek,
Bo szklaneczka przezroczysta,
Łatwo się przekonać, czy też woda czysta.
Nic dziwnego, że każdy pragnie mieć wygodę;
I odtąd chłopcy w szklankach przedawali wodę;
Jeden się na to krzywił,
Drugi przemysłowi dziwił,
A chłopcy grosze
Zbierali potrosze,
Gdyby ten dar od Boga z wdzięcznością przyjęli
I ocenić go umieli,
Byliby dotąd źródełka panami;
Lecz tak rzekłszy między nami,

Różne im nie piękne rzeczy zarzucano;
Więc ze *Szkółki* ubogie sierotki we-
zwano,
I odtąd dobre dziateczki,
Roznoszą szklanne kubeczki;
Żaden wody nie przedaje:
Bo BÓG wodę darmo daje.
Ale gdy serce czyje ten pomysł pochwala,
Pod cieniem lipy siedzi Starzec zdala,
Najmniéjszą ofiarę do puszki przyjmuje,
Imieniem sierotek uprzéjmie dziękuje;
A ci co w miłosierdziu znajdują rozkosze
Składają złotóweczki, trzechgroszówki,
grosze;
BÓG miłosierdzie ocenia,
Grosze w dukaty zamienia,
I jak rosę zsyła kwiatkom
Dobroczyńców daje dziatkom.

MATKA.

Pamiętasz zapewne Saski ogród w Warszawie ?

ANTOSIA.

Jakżebym nie pamiętała! wszakżeśmy po nim prawie co dzień chodzili.

JÓZIO.

Tyle tam było kasztanów!

ANTOSIA.

I tych chłopców pamiętam co wodę przedawali, bo kiedy raz wypiłam kubek wody i dałam grosz, to ten co mi podawał skrzywił się brzydko i powiedział: tak ładnie ubrana a tylko grosik dała!... zaraz też sobie pomyślałam że to prawda co Babunia mówi, że w Warszawie wszystko bardzo drogie, kiedy nawet wodę kupować trzeba.

JÓZIO.

Lepiéj to jednak u nas na wsi, bo choćby kto wiadrami czerpał wodę to mu płacić nie każą.

MATKA.

I w Warszawie nie płaci się za wodę; tylko w Saskim ogrodzie przemyślne chłopcy wynaleźli sobie tym sposobem łatwy zarobek, że przechodzącym podawali wodę w szklannych kubkach, a że tam najczęściej chodzą osoby zamożne, lubiące czystość i wygodę, każdy wolał dać parę groszy, jak sam sobie pompować wodę w blaszany kubeczek zawieszony przy studni.

ANTOSIA.

Ależ w tém nic złego nie było że te

chłopczyki chcieli sobie parę groszy zarobić?

MATKA.

Zapewne, gdyby tego na dobre użyli, ale dzieci te przywykłe do próżnowania, marnowali pieniądze na łakocie, a co gorsza przegrywali je w gry rozmaite.

JÓZIO.

Któż teraz podaje wodę?

MATKA.

Sierotki wychowywane staraniem Towarzystwa dobroczynności.— Czy pamięta Józio co to za Towarzystwo?

JÓZIO.

Pamiętam; jest to wielu dobrych ludzi co się umówili wspomagać biednych.

MATKA.

Niech i tak będzie jakeś powiedział, widzę ztąd że rozumiesz co ci powiadano.

ANTOSIA.

Byliśmy z Babunią w domu tego towarzystwa, bo tam żyje stara Babuni służąca, Józefowa.

JÓZIO.

Wiem że tam było dużo dziadków i babek, wszyscy jednakowo ubrani siedzieli na ławkach; jedni przędli, darli pierze, robili pończochy.....

ANTOSIA.

A gdyśmy wychodzili, przy drzwiach stało mnóstwo ubogich z miasta, którym w garnuszki rozdawano jedzenie.

JÓZIO.

Ale ja szkółki nie widziałem.

MATKA.

Nie byliście w niej, ale jak tylko do Warszawy pojedziemy to was tam zaprowadzę, bo nie widziałam nigdy tak dobrych, tak moralnie wychowanych dzieci jak tam.

ANTOSIA.

Czy są tam i dziewczynki?

MATKA.

Nie, tylko trzydziestu sześciu chłopczyków.

JÓZIO.

To dużo! musi im być wesoło.

MATKA.

Zapewne; po skończonych naukach

wolno im biegać, bawić się przyzwoicie, najczęściej jednak śpiewają, i nigdy nie zapomnę jak mię rozrzewnili, śpiewając dobranemi głosami znaną pieśń wieczorną »Wszystkie nasze dzienne sprawy.« Było to wieczorem, chłopcy stali na obszernem podwórzu, a do koła starcy siedząc na ławach powtarzali w duszy pobożne wyrazy.

ANTOSIA.

Jakbym ja ich chciała widzieć!

JÓZIO.

Czego ich też tam uczą?

MATKA.

Wielu rzeczy; i tak: najprzód każdy z nich musi najprzód umieć zrobić sobie całe odzienie i obuwie; czytać, pisać, rachować; prócz tego uczą się ry-

sować, śpiewać bo to jest miła i przyzwoita zabawa, łatwych robót ręcznych, i niemieckiego języka, bo ta wiadomość koniecznie rzemieślnikowi potrzebna, a wszystkie te dzieci rzemieślnikami będą.

J Ó Z I O.

A to dla czego?

M A T K A.

Bo człowiek nie mający majątku ani wysokich nauk, w rzemiośle tylko może się uczciwie i przyzwoicie wyżywić.

A N T O S I A.

Oni jednak wiele umieją: kto ich też moja mamo tego wszystkiego uczy?

M A T K A.

Kilka osób należy do tego chwale-

bnego dzieła, lecz najwięcej biédne sierotki winne są Członkowi Towarzystwa Dobroczynności, Przełożonemu nad tą szkółką; bo on nie tylko że dopełnia dobroczynnego czynu, ale kocha ich, myśli o nich dniem i nocą jak o własnych dzieciach, i coraz nowe wynajduje sposoby do ulepszenia ich bytu, do udoskonalenia ich duszy i serca.

ANTOSIA.

Ach mamo! gdybym ja Go kiedy zobaczyć mogła!

MATKA.

Spodziewam się że kiedyś poznacie tego zacnego męża, a gdy się wasz umysł rozwinie, dopiero będziecie w stanie ocenić, ile dobrego jeden tak świa-

tły i dobroczynny człowiek może zrobić na świecie.

Dzieci milczały długo, przejęte poszanowaniem dla nieznanego sobie męża, bo nic tak młodych serc nie wiąże, jak przychylne dla ich wieku uczucie; prawdziwy przyjaciel dzieci, od znanych i nieznanych sobie wielbionym będzie. Nakoniec Antosia zwróciwszy przypadkiem oczy na Kurjera którego dotąd w ręku trzymała rzekła:

— Moja mamo! tu napisano:

Żaden wody nie przedaje,
Bo Bóg wodę darmo daje.

Wszakże Bóg wszystko darmo daje a jednak tyle rzeczy kupować trzeba.

MATKA.

Naprzykład?

ANTOSIA.

Naprzykład: chleb, gruszki, śliwki, i tyle rzeczy, żebym ich i wyliczyć nie mogła.

MATKA.

Wszystko to coś dopiero wspomniała potrzebuje starań ludzkich,i tak: chleb nie rodzi się z ziemi takim, jakim go jemy, trzeba zrodzone ziarno zżąć, wymłócić, umleć na mąkę, z mąki zarobić ciasto i upiec w piecu; chcąc mieć dobre owoce, trzeba je najprzód szczepić, pielęgnować drzewa, oczyszczać korę, wytępiać robactwo, przedający więc nie za ziarno i owoc ale za swoją pracę płacić sobie każą.

ANTOSIA.

Rozumiem mamo; więc i w Saskim

ogrodzie nie za wodę lecz za usługę się płaci.

MATKA.

Nieinaczéj, z tą tylko różnicą że dawniéj chciwe, nieobyczajne chłopcy nikomu darmo usłużyć nie chcieli, dziś zaś łagodne i grzeczne dzieci wszystkim chętnie usługują nie wymagając zapłaty.

JÓZIO.

Więc teraz możnaby pić wodę i nic za to nie dać?

MATKA.

Można; ale któżby za grzeczność nie chciał się podobnie odwdzięczyć, tém bardziéj, kiedy mały dar może się przyczynić do szczęścia naszych bliźnich.

ANTOSIA.

Ja też teraz jak przyjadę do Warszawy, i przyjdę do Saskiego ogrodu to całą złotówkę dąm dobrym chłopczykom.

JÓZIO.

A ja muszę iść do szkółki i zaznajomić się z nimi.

MATKA.

Z największą chęcią zaprowadzę was tam moje dzieci, bo wiem że wiele skorzystacie widząc uczniów téj szkółki, i bardzo bym sobie życzyła żebyście byli równie szczerémi, pobożnémi, pracowitémi jak oni.

ANTOSIA.

Powiedzże mi moja mamo, (bo ja zawsze do jednego powracam); więc

nie ma nic na świecie za co byśmy płacić nie powinni? bo nad wszystkiém ludzie pracują.

MATKA.

Tylko wodę i cień każdy bez pracy i zachodów mieć może. —

ANTOSIA.

Dziwnie by też to było gdyby kto za cień żądał zapłaty.

MATKA.

Był jednakże taki człowiek, i zaraz wam o nim powiem.

JÓZIO I ANTOSIA.

Opowiedz! opowiedz prosimy cię mamo!

MATKA.

Przed dawnemi czasy, w pięknej o-

kolicy mieszkał zamożny kowal; dom jego obfitował we wszystko co tylko do wygody życia potrzebne, grunta miał obszerne, bydła sztuk kilka, doskonałe kuźnicze narzędzia, i jak mówiono, pieniędzy podostatkiem. Był to człowiek pracowity, spokojny, nikomu nie wszedł w drogę, a mimo to nikt go nie lubił, bo był chciwym i nie użytym, nigdy nikomu najmniejszéj nie wyświadczył przysługi. — Nie raz go wieśniak prosił o pożyczenie kilku złotych, nie raz błagał o podkucie konia lub naprawienie gospodarskiego narzędzia; naprożno! na wszystkie prośby kowal odpowiadał: zapłać! Poznawszy jego charakter sąsiedzi udawali się do kuźni tylko w koniecznéj potrzebie, ale nie raz wieczorem siadali pod kasztanem co od niepamiętnych czasów stał blisko drogi;

bo choć należał do kowala, wieśniacy lubili széroki cień jego, i widok rozciągający się na drogę, pola i wioskę. Nie raz także wieśniaczki biegły do zdroju tryskającego ze wzgórka na którym kuźnia stała, bo w całéj wsi nie było tak świeżéj i smacznéj wody. Niemiłém okiem poglądał kowal na te odwiedziny, i przykro mu było że drudzy korzystają z jego własności; postanowił więc opłatę od spoczynku pod kasztanem, i od każdego wiadra wody czerpanéj u jego zdroju. — Z tąd większą jes cze niechęć ku sobie wzniecił w mieszkańcach wioski, lecz dochód jego się zwiększył; bo choć nie codzień, to przynajmniéj, w niedzielę chłopkowie woleli złożyć po groszu, a posiedzieć na dawno ulubionem miejscu. — Oszczędne gospodynie wolały przestać

na swojéj wodzie, lub nosić ją z dalekiego strumienia, niż każde wiadro opłacać kowalowi; lecz gdy nadeszło niezmiernie suche i gorące lato, gdy w wiejskich studniach woda się popsuła, a strumień wysechł zupełnie, trzeba było znosić grosze żeby nie cierpieć pragnienia.

Nieużyty człowiek cieszył się z powszechnéj klęski, i jeżeli kiedy, to teraz pewno nie pozwolił bezpłatnie zaczerpnąć wody u zdroju.

Pewnego dnia w południe, gdy słońce najmocniéj piekło, a kowal zjadłszy obiad spoczywał przed domem; starzec słaby i wynędzniały, z trudnością wlokąc bezsilne nogi siadł przy zdroju, i z wyrazem prawdziwéj radości nadstawił dłoń pod świeżą wodę tryskającą z darniny.—

—A masz dziadu pieniądze? krzyknął pan domu, któremu się uboga powierzchność starca nie podobała.

—Nie mam panie ani grosza, odrzekł staruszek, jeszcze nawet nic nie jadłem od rana.

—To i pić nie będziesz; mruknął kowal, bo tu się płaci za wodę!

Biédny staruszek w milczeniu powstał od źródła, nie odwilżywszy ust spieczonych pragnieniem ; ale odchodząc; spójrzał tak żałosnem okiem na kowala, że jego uczeń, młody i dobry chłopak wzruszył się do głębi duszy.—Wędrowiec tak się zdawał utrudzonym, że kowalczyk litował się nad nim myśląc że nie będzie w stanie dowlec się do drugiego źródła, a korzystając z chwili gdy pan jego wrócił do izby, sam schwy-

cił dzbanek gliniany, czerpnął wody i poskoczył za spragnionym staruszkiem.

— Niech ci Bóg nagrodzi litościwy młodzieńcze! rzekł starzec i podniósł do ust chłodzący napój, lecz wprzód nim połknął kropelkę, podejrzliwy kowal śledzący poruszenia swego ucznia, wytrącił dzbanek z drzących rąk wędrowca, w najobelżywszych wyrazach zaczął mu wyrzucać, że jego domownika do kradzieży przywiódł; a nie znając miary w swym gniewie, posunął się aż do wybicia swego ucznia.— Cnotliwy młodzieniec tknięty do żywego takiem obejściem, zniósł je cierpliwie, ale wróciwszy do domu zebrał swoje rzeczy, i zażądał od majstra aby go uwolnił.— Rozjątrzony kowal przystał na to od razu, bo tkliwa i szlachetna dusza ucznia dawno już nie była mu do sma-

ku, i w godzinę po wypadku który wam opowiedziałam, sam jeden został w kuźni i w domu.

Wieczór już zapadł, gdy nasz chciwiec zaprzestawszy roboty wyszedł znów przed dom, i zwracając oczy ku drodze, spostrzegł dwóch ludzi siedzących pod jego kasztanem; biegnie do nich, a widząc nieznajomych oświadcza im: że za cień tego drzewa grosz od osoby zapłacić trzeba.

—*Ależ teraz cieniu nie ma; rzekł* jeden z siedzących.

—To nic nie znaczy zawołał zawstydzony kowal, kto chce tu siedzieć ten zapłacić musi.

Nieznajomi spójrzeli po sobie.

—Dobrze, powiedział z nich jeden: ale wydasz nam resztę z talara, bo dro-

bnych nie mamy pieniędzy, i powstawszy poszli za kowalem; lecz gdy ten wszedłszy do domu zaczął zbierać po szufladkach grosze i trzygroszniaki, dwaj nieznajomi rzucili się na niego, a związawszy mu ręce i nogi, przetrząsnęli dom cały i zabrali wszystko co było, bo to byli dwaj złoczyńcy znani w okolicy ze śmiałych kradzieży.

Kowal przez całą noc i dzień następny, próżno się silił porwać więzy co go krępowały; ból, gniew, głód i pragnienie dręczyły go okropnie, a nikt mu w pomoc nie przybywał, bo nikogo to nie obchodziło że ponurego kowala nie widać; owszem, wiejskie dziewczęta rade że od nich groszów za wodę nie żądał, napełniwszy wiadra uciekały co siły. Dopiero nad wieczorem, gospodarz jeden potrzebując nowéj pod-

kowy dla konia, nie znalazłszy kowala w kuźni wszedł do domu i uwolnił go z więzów; ale troska i cierpienie przywiązały się odtąd do chciwego człowieka, nie mógł się pocieszyć po stracie pieniędzy, osłabiony na zdrowiu nie wiele zarabiał, zdrój nawet mało mu już przynosił, bo po upadnięciu obfitych deszczów wody w całéj wsi przybyło, do tego jeszcze przyłączyła się zgryzota sumienia, a tak niknąc i dręcząc się powoli chciwy kowal umarł w nędzy nie żałowany od nikogo.

ANTOSIA.

To smutna powieść mamo.

MATKA.

Prawda, bo zawsze smutno wspomnieć o człowieku który swym braciom darów Boga żałuje.

JÓZIO.

Pewny jestem, że z tych chłopczyków co teraz w Saskim ogrodzie wodę podają, żaden takim nie będzie.

MATKA.

I ja tak jestem przekonaną, bo nie raz widziałam, jak darowane sobie kilka groszy zamiast użyć na przysmak lub zabawkę jaką, wkładali do puszki przeznaczonéj na cel dobroczynny.

ANTOSIA.

O! pewnie każdy z nich takby sobie postąpił jak uczeń kowala.

JÓZIO.

A co się też z nim stało?

MATKA.

Nie wiem tego dzieci moje, lecz domyślam się że dobrze mu się wiodło przez resztę życia, bo Bóg błogosławi zawsze dobrych i litościwych ludzi.

JÓZIO.

Pewny jestem, że z tych chłopczyków co teraz w Saskim ogrodzie wodę podają, żaden takim nie będzie.

MATKA.

I ja tak jestem przekonaną, bo nie raz widziałam, jak darowane sobie kilka groszy zamiast użyć na przysmak lub zabawkę jaką, wkładali do puszki przeznaczonéj na cel dobroczynny.

ANTOSIA.

O! pewnie każdy z nich takby sobie postąpił jak uczeń kowala.

JÓZIO.

A co się też z nim stało?

MATKA.

Nie wiem tego dzieci moje, lecz domyślam się że dobrze mu się wiodło przez resztę życia, bo Bóg błogosławi zawsze dobrych i litościwych ludzi.

SZCZYGIEŁEK.

(POWIASTKA).

Wszyscy włościanie mieszkający we wsi rodziców Antosi i Józia, byli porządni, zamożni, bo lubili pracować i oszczędzać zarobione pieniądze, jednakże nie każdemu się jednakowo wiedzie; Franas jeden z najbogatszych gospodarzy, przez straty bydła, chorobę i śmierć kilkorga dzieci, stracił pomału

wszystko co posiadał, i jeszcze w końcu zachorował ze zmartwienia. Długo trwała jego słabość, państwo przysyłali mu doktora i płacili lekarstwa, pytali nie raz czy czego w domu nie brakuje, ale Franas i jego żona nigdy o nic nie prosili, przykro im i tak było że się dziedzicowi w robocie zadłużali, skoro więc trzeba było czego, zamiast iść z płaczem i jękiem do dworu, Małgorzata wyjmowała ze skrzyni to bicz korali, to sztukę płótna, to parę fartuchów, niosła do miasteczka i wracała z potrzebnemi sprawunkami. Smutno jéj było rozstawać się z tém wszystkiém co długą i przykrą pracą przybyło, ale zawsze pocieszała się myślą że jak Franas wyzdrowieje, jak się znowu oboje wezmą do roboty, to wszystko wróci.

Nie wysłuchał Bóg codziennych mo-

dłów poczciwej kobiety, mąż jej umarł po półrocznej blisko chorobie, a biedna wdowa została z ośmioletnim synkiem bez zapasów, bez pieniędzy, bez domu, bo nie mogąc prowadzić gospodarstwa musiała ustąpić z chaty.—Pobożna, czynna, zdała się na wolę Boga i ochoczo wzięła się do pracy. Najęła małą izdebkę u znajomej sobie gospodyni, w lecie żęła, piełła, kosiła siano, w zimie przędła, i miała zawsze dość pieniędzy na wyżywienie siebie i Adamka. Z sześciorga dziatek to jedno jej pozostało, co dzień prosiła Boga gorąco aby jej tę ostatnią pociechę zostawił, co dzień uczyła chłopczynę jak trzeba myślić i działać żeby z czasem zostać poczciwym człowiekiem.

Adamek kochał matkę nad wszystko, pomagał jej w czem mógł, przysługi-

wał się sąsiadom, żeby za to choć czasami przynieść do chaty przysmak lub parę groszy; do szkoły chodził pilnie, bo widział że matka najszczęśliwszą była jeżeli jéj czasami bakałarz powiedział: »Moja Franasowa, nie głupiego macie chłopaka; wyjdzie on kiedyś na ludzi.«

Tak minął rok przeszło, ale zdawało się że Bóg różnemi sposobami chciał doświadczać biednéj kobiety, zdrowie jéj znikać zaczęło, już nie mogła ciężkich prac podéjmować, często nawet nie tylko z izby lecz i z łóżka nie wychodziła. Sąsiedzi wspomagali ją niekiedy, ze dworu przysyłano chleba podostatkiem, jednakże Franasowa posilając się tém co jéj z litości dano, ocierała oczy kryjomo, wzdychała ciężko i modliła się co dzień żarliwiéj o po-

wrócenie zdrowia.— Adamek choć tak młody zrozumiał cierpienie matki, odgadł jak to przykro żyć jałmużną, kiedy kto przez całe życie pracował żeby na starość mieć własny kącik i kawałek chleba, i umyślił jéj dopomódz.

Było to właśnie w początku wiosny, Adamek wiedział że gromadzie trzeba pastuszka do owiec, prosił więc żeby to zatrudnienie jemu powierzono;—cała wieś znała spokojność i rozsądek chłopczyny, prośbę zatém jego przyjęto bez namysłu, wyznaczono mu żywność, i trzy talary płacy na lato.—Łatwo pojąć z jaką radością dobry syn zaniosł matce pierwszą dwuzłotówkę którą mu naprzód dano, z jaką roskoszą myślał że im już żebrać nie trzeba, że oboje z jego pracy żyć będą.

Zaraz nazajutrz objął nowe swoje

obowiązki, dano mu kij w rękę, ogromnego brytana za towarzysza, przewieszono przez ramię kobiałkę z chlebem i serem, a młody pastuszek zebrawszy trzodę opuścił wieś na dzień cały śmiało i wesoło, bo z dala ujrzał w otwartém oknie błogosławiącą go rękę matki.

Adamek pilnie i gorliwie dopełniał swojéj powinności, nie żałował drogi byle owieczkom obfitsze znaleść pastwisko, nie pozwalał błąkać się po cierniach i zaroślach, żeby wełny nie traciły, młode jagnięta strzegł troskliwie od burz i upałów, słowem gospodarze tak z niego byli kontenci, że jeden ubiegał się przed drugim, aby więcéj wiejskich przysmaków nakłaść w kobiałkę chłopczyka; pies z którym się dzielił chlebem i obchodził łagodnie nie odstępował go ani na krok, zda-

wało się nawet że na głos małego pasterza owce żwawiéj i weseléj pląsały.

Twarz Franasowéj wypogodziła się nieznacznie, syn przynosił jéj co wieczór chleba, miodu, masła, czasem kawał wędzonéj słoniny, bo dobry chłopczyk przywykł mało w dzień jadać, żeby za to razem z matką zasiąść do wieczerzy; były też i takie dni w których Małgorzata zdrowsza wychodziła do roboty, a tak zdawało się że nędza i zmartwienie znów na czas jakiś oddaliły się od niéj. —

Nudziło się Adamkowi siedzieć w lecie po dniach całych bez żadnéj roboty, uczył Brysia różnych figlów, wygrywał piosnki na pasterskim rożku, czasem czytał katechizm, ale tego wszystkiego było mu za mało, i ciągle przemyślał, czyby pasząc trzodę nie można

jeszcze co robić? nakoniec wystrugawszy raz wrzeciono dla matki, postanowił i inne przedmioty z drzewa wyrabiać.—Z początku szło mu niezręcznie, z czasem wprawił się w to nowe rzemiosło, wyrzynał łyżki, kopystki, warząchwie tak zgrabnie i gładko, że cała wieś ubiegała się o jego robotę, a za to nie jeden trojak do woreczka, nie jeden przysmak przybył do spiżarni Małgorzaty.—

Pastuszek uszczęśliwiony pierwszém powodzeniem, nie przestał jednakże na tém; kupił sobie ostry nożyk i wziął się do większych rzeczy, już nie łyżki, lecz talerze, kubki, miseczki, wyrabiał z twardego jesionu; co raz to inne przychodziły mu myśli, co raz więcej poznawał rozmaite drzew własności, używał to gałęzi, to korzeni, z tych ostatnich

osobliwie nauczył się tak kształtne pudełka i tabakierki robić, tak je umiał ogładzać ostrą nadwodną trawą, że kiedy zaopatrzywszy wszystkich sąsiadów w te ładne przedmioty, poniósł resztę na jarmark do bliskiego miasteczka, rozebrano wszystko w jednéj chwili, zamówiono na przyszły jarmark nie mało roboty u młodego snycerza, a Franasowa wieczorem blizko pięć złotych do skórzanego woreczka schowała.

Życie Adamka płynęło mile i użytecznie, ale widzimy nie raz jak pomyślność w smutek i zmartwienie się zamienia, jak wtenczas kiedy samą radość widzimy przed sobą, troska lub nieszczęście nas czeka;—tak się i tu stało;— dopóki wypuszczano owce na paszę, dopóki Adamek przynosił co dzień do domu dostateczną ilość żywności, wszystko

szło jak najlepiej; lecz skoro śniegi ziemię pokryły, skoro trzodę w owczarni zamknięto, pastuszek poznał że całem jego bogactwem był nożyk i kupa suchych korzeni które sobie podczas lata uzbierał.—Wychowany pobożnie, przywykły ufać Bogu, spodziewał się że przy Jego pomocy potrafi zaspokoić potrzeby matki, i bez obawy poglądał na kilka miesięcy zimy grożnie już zaglądającéj do chaty.

Kochał on matkę swoją nad wszystko, lubił słuchać kiedy mu opowiadała o dobrym Stwórcy, o zmarłym ojcu, lub o dawnych zdarzeniach, ale lubił także towarzystwo swojego wieku, biegał na wyścigi z znajomemi chłopcami, ślizgał się po sadzawce, igrał śniegowemi piłkami, słowem choć rozsądny i pracowi-

ty jak dorosły człowiek, Adamek wesołym był jak dziecię.

Nie raz wiejskie chłopaki chwytali biedne ptaszyny, które głodem zmuszone zbliżały się do ludzkich mieszkań nie raz chlubili się przed Adamkiem że na obiad lub wieczerzę pełną rynkę tych drobnych stworzeń dostarczali swym matkom, do téj wyprawy nie mogli go namówić.

—Nie; odpowiadał zachęcającym go do połowu, nie miałbym serca zakręcić główkę któremu z tych co może przy mnie śpiewali kiedy mi w lesie smutno było samemu; nie mógłbym go przełknąć choć z masłem.

Pewnego dnia, Adamek stał właśnie na progu chaty z kawałem chleba w ręku, gdy kilkanaście ptasząt zwietrzywszy może pożywienie przysiadło bli-

sko na śniegu; chłopczyk nakruszył w dłoń chleba i cisnął go między zgłodniałą rzeszę, powtórzył to kilka razy i patrzył z rozkoszą jak nasyciwszy się odlatywały wesoło, świergocąc, niby na podziękowanie.

Jeden z ostatnich ptaszków podleciawszy do wysokości dachu, wrócił się i siadł znów na przeciw chłopczyny.

—Może chcesz jeszcze? rzekł nasz pastuszek, i sypnął mu garść okruszyn.

Ptaszyna dziobnęła raz, drugi, poskoczyła bliżej ku drzwiom, i czarne swoje oczęta utkwiła w świeżą twarz Adamka.

Chłopiec patrzył nań ciekawie, był to ładny z czerwoném gardziołkiem szczygiełek, przeskakiwał z jednéj nogi na drugę, swiergotał i ciągle patrzył na syna Małgorzaty.

—Możebyś ty wolał w izbie niż na dworze przezimować?

To mówiąc poskoczył ku ptaszkowi, chcąc go schwytać, ten spłoszony, podleciał w górę, lecz Adamek ujęty ładną postacią skoczył za nim, i póty za nim krążył i gonił, póki ptaszka nie uchwycił; nie długo szczygiełek siedział w izbie na oknie przed słoikiem czystej wody i zdrowego ziarna.

Szczygiełek ten stał się najmilszym towarzyszem Adamka; przesiadywał z nim całe wieczory, plótł mu klatki i zatykał grządki za ścianę, mail kąty zielonemi jedliny gałęźmi, rozmawiał z nim nie raz długo i kiedy ptaszek patrząc w oczy swemu panu przekręcał główkę to na tę to na tę stronę, chłopczyk skakał z radości mniemając że go maleńka istota rozumie. —

Około nowego roku wzmogły się mrozy, zwiększyła się słabość Małgorzaty, i pomnożyły zatrudnienia Adamka, od rana zbierał suche gałęzie na ogień, przyrządzał dla matki jedzenie czytał jéj nabożną książkę gdy nie mogąc nic robić smutniejszą była jak zwykle; wychodził nie raz z domu chcąc jaką usługą zarobić od sąsiadów potrzebny zasiłek; często brał się do swego nożyka, ale strapionemu, zamyślonemu nie szło już jak dawniéj. Wyrabiane dotąd przedmioty znane były w całéj okolicy, i nie miały takiego pokupu jak z początku, a nowa myśl ani raz mu nie chciała przyjść do głowy; jedyną więc pociechą stroskanego Adamka był teraz szczygiełek; często gdy matka wyszła z izby, opowiadał mu swoje kłopoty, pytał o radę, a ptaszek widząc zachmurzoną

twarz pana skakał mu po ramionach dziobał usta, świergotał, lub biegł do swojéj klatki i ciągnąc wiaderko z wodą zdawał się go zachęcać do pracy i wytrwania.—

W wigilią trzech Króli, Małgorzata choć słaba wstała raniéj jak zwykle i poszła do wsi nie mówiąc synowi po co i do kogo, w godzinę może wróciła smutna, zapłakana, wzięła się w milczeniu do roboty, ale co chwila wypuszczała z rąk wrzeciono i zaléwała się łzami.

— Co wam matko kochana? zapytał smutny Adamek czy wam się co złego przytrafiło dzisiaj?

— Nie moje dziecko! ale chodziłam do gospodyń co mi winne za przędziwo, i nic nie dostałam!

— I czegóż się tak trapić matulu! rzekł przymilając się chłopczyna, toć

się jeszcze przez kilka dni obejdziemy bez pieniędzy. — A jeżelić koniecznie chcecie to ja jutro zaniosę moje sześć pudełek do miasta. — Nie boję się zimna matulu, wezmę katankę z kożuchem, i zobaczycie że choć ze dwa złote przyniosę wam przed wieczorem.

— Niech cię Bóg błogosławi moje dziecię rzekła Franasowa przyciskając syna do piersi; ale mnie na jutro rano potrzeba pieniędzy.....

— A na cóż wam *tak pilno* matko? Łzy małgorzaty trysnęły strumieniem, i po długim płaczu wyrzekła łkając:

— Jutro dwa lata jak twój ojciec umarł; a ja nie mam i grosza żeby dać na mszę za jego duszę; żeby przynajmniej dziadka o pacierz poprosić!...

Adamek się zamyślił.

— Moja matulu! przecież ksiądz pro-

boszcz zna was dobrze, rzekł po chwili, to mszę i bez pieniędzy odprawi.

— Myślałam i ja o tém, ale dobrodziéj jak pojechał w nowy rok do Warszawy, to podobno aż za dwie niedziele powróci, a *jakiś* ksiądz nieznajomy będzie przez ten czas nabożeństwo odbywał.

Nie było więc rady: Małgorzata i syn jéj w smutku spędzili dzień cały; — nad wieczorem matka rozpaliła ogień na kominku, aby po całodziennym poście rozgrzać się i posilić cokolwiek, Adamek usiadł przy oknie a pieszcząc swego szczygiełka wzdychał, myśląc że w domu nic pieniędzy nie było.

Niespodziewanie w niskie drzwi Franasowéj wszedł mały Józio, otrząsnął na progu płaszczyk śniegiem przyprószony, powitał gospodynię i z uśmie-

chem podał Adamkowi rękę. Na widok świeżéj twarzyczki pańskiego syna, rozjaśnili czoła i mieszkańcy chatki, oddawna bowiem wesoły, uprzéjmy chłopczyna lubionym był w całéj wiosce, nikogo nie obraził, i jeżeli nie dopomógł, nie pocieszył, pewnie téż nie zasmucił nikogo. —

Małgorzata wypytywała troskliwie o zdrowie państwa i panienki, Józio odpowiadał grzecznie, a potém obróciwszy się do Adamka oznajmił mu że przyszedł umyślnie dla tego, żeby obstalować ładną tabakierkę z topołowego korzenia dla starego służącego Franciszka, prosząc żeby jak najstaranniéj wyrobioną była, i to niezawodnie na imieniny poczciwego staruszka. —

Kiedy Adamek rozkładał przed paniczem cały zapas ukończonéj roboty,

a ten bacznie oglądał kształt i kolor każdego przedmiotu, aby wszystkie najlepsze własności wybrać do żądanéj tabakierki, szczygiełek przyskoczył także do stołu, i jak gdyby pragnął przyłożyć się do uprzéjmego przyjęcia gościa, zaczął wszystkie swoje figle i pieszczoty okazywać zdziwionemu Józiowi.

—O! to nic jeszcze paniczu! rzekł Adamek dumny z zdolności swego wychowańca, ale jak on zgrabnie wodę ciągnie wiaderkiem, jak koziołki przewraca, a wszystkiego w dwa tygodnie się nauczył. A jak mię kocha!.....

Za każdą pochwałą szczygiełek więcéj się Józiowi podobał, dopieróż kiedy pastuszek kazał mu wszystkie sztuki przed gościem przedstawić, nie mógł się chłopczyna oprzeć chęci posiadania takiego skarbu.—

—Przedaj mi go Adamku! zawołał.

—O nie! panie Józefie; nie dałbym go za żadne pieniądze. Jemu tak zemną dobrze!...

—I u mnie by mu dobrze było; a u nas jest wielka klatka z żółtego drótu po mamy kanarku, mieszkałby w niej jak w pałacu...... Przedaj go, mój kochany, dam ci dwa złote.

Pastuszek potrząsnął głową, ale wnet wspomniał jak nie dawno pragnął gorąco tych dwóch złotych, na jaki cel potrzebne mu były;—spójrzał na matkę, gotowała ona kaszę przy kominie, ale na wzmiankę pienędzy odwróciła się na pół ku izbie i ukradkiem poglądała na syna.—

—Dam ci trzy złote! zawołoł niecierpliwy Józio.—

Trzy nowe złotówki potoczyły się po stole, Małgorzata mimowolnie wyciągnęła ku nim rękę, a Adamek uchwyciwszy szczygiełka przycisnął go do ust w milczeniu, oddał paniczowi, i pobiegł do kąta otrzeć łzy spływające mu z oczu strumieniem.—

Józio zajęty swém nowém nabyciem nie uważał prawie tego, okrył ptaszynę płaszczykiem i pobiegł wesoło do domu, lecz próżno umieścił go w obszernéj złoconéj klatce, próżno w kryształowych słoikach stawiał mu *ziarno* i wodę, próżno nawet Antosia zwabiona ciekawością widzenia uczonego więźnia swego brata, otaczała jego mieszkanie wazonami rzadkich kwiatów, szczygiełek przez cały wieczór ani jeść, ani pić, ani patrzeć nie chciał na nikogo. —

— Może on się nas boi? rzekła Antosia.

— Och! nie taki on lękliwy odrzekł niechętnie Józio: tylko to widzę prawda co już nie raz słyszałem, że kiedy kto z żalem jaką rzecz przedaje, to nigdy kupującemu na dobre nie wyjdzie.

— Więc Adamek żałował swego ptaszka.

— I jak jeszcze! kilka razy ocierał sobie oczy rękawem, a przecież zapłaciłem mu nie mało;— trzy złote za jednego szczygiełka!

Matka obójga dzieci słuchała zdala ich rozmowy; uderzyły ją mocno ostatnie słowa syna; znała od dawna Adamka i Małgorzatę, domyśliła się że w wielkiej musieli być potrzebie i po-

stanowiła pomówić z zacną kobietą w celu zabezpieczenia jéj bytu.—

Nazajutrz, domownicy wracający ze mszy porannéj rozmawiali między sobą, jak Franasowa z synem gorąco się modliła w kościele, i jak często płacz i łkanie modły ich przerywały.

—Musi u nich znów być okropna biéda, dodał nie jeden.—

Wyrazy te potwierdziły domysły dobréj pani, a kiedy poszedłszy do kościoła ujrzała Małgorzatę klęczącą jeszcze przed ołtarzem, wzmogło się w niéj przekonanie, że biedna kobieta wiele potrzebuje kiedy się tak długo i szczerze modli do Boga.—

Wracając do domu po skończoném nabożeństwie, zbliżyła się do Franasowéj, i chcąc w niéj wzbudzić zaufanie

zaczęła mówić o przykréj zimie, o niedostatku roboty, drogości chleba, mniemając że tym sposobem przywiedzie Małgorzatę do wyznania swéj nędzy, i skłoni ją do przyjęcia ofiarowanego od dawna wsparcia. —

— Ej, co tam dobrodziéjko! odpowiedziała wesoło matka Adamka, prawda że nam biédakom Bóg często krzyże zsyła, ale więcéj ci u niego dobrego jak złego; a kiedy komu da takiego jak mnie syna, to już nie żal głodu i zimna *pocierpieć, postękać* z choroby, wszystko się okupi.

Tu Małgorzata opowiadać zaczęła całą wczorajszą prygodę, ofiarę dobrego syna i tysiąc przykładów jego dobroci, tkliwości, przywiązania do niéj, a mówiła o tém z takiém szczęściem i zapałem że zdziwiona dziedziczka nie śmia-

ła jéj już mówić o niedostatku i wsparciu. Dochodząc do chaty Franasowa ujrzała stojącego we drzwiach pastuszka, lecz skoro spostrzegł Józia, Antosię i ich matkę wszedł spiesznie do domu.—

—Biedny chłopiec! rzekła matka boi się żeby panicz nie poznał jak mu żal szczygiełka, on nawet i przedemną udaje jakby go to nie frasowało; ale znam ja go dobrze, widziałam dziś rano jak mu się łzy w oczach kręciły kiedy spójrzał na pustą klatkę ptaszęcia, i Bóg świadkiem, że gdyby nie szło o duszę nieboszczyka, to bym największych pieniędzy nie wzięła za tę najmilszą rozrywkę mojego dziecięcia.—

Zarumienił się Józio na te słowa, wstyd mu było przed samym sobą, że niedawno oburzał się na smutek pastuszka, że mniemał trzema złotówkami hojnie

jego ofiarę okupić, i pragnął tylko co prędzéj wrócić do domu żeby tak żałowanego szczygiełka oddać dawnemu panu;—lecz wszystkie te zamiary spełzły na niczem, skoro wchodząc do swego pokoju Józio ujrzał jak ptaszek wesoło koziołki przewracał, i jak trzepiąc się w czystéj wodzie, wyśpiewywał z całéj siły. Adamek, Małgorzata, wszystko wyszło chłopczynie z pamięci widział tylko codzienną zabawę dla siebie, układał w myśli czegoby jeszcze można nauczyć szczygiełka, i cieszył się na to jak przy pierwszych odwiedzinach młodzi jego rówiennicy zazdrościć będą podobnego klejnotu.—

Więcéj jak tydzień czasu upłynął od święta trzech-króli, po silnych mrozach nastąpiła zupełna odwilż, deszcz lał strumieniem, wiatr świszczał na dworze

Małgorzata prządła w izbie przed ogniem, a syn czytał jéj głośno Życie Jezusa Chrystusa.—

Nagle zatrzymał się w czytaniu.

— Słyszycie matulu? rzekł po krótkiem milczeniu; — słyszycie u okna?

— Słyszę moje dziecię jak wiatr pluska grubemi deszczu kroplami.

— To nie deszcz matko; to tak jak dawniéj pukał mój szczygiełek kiedy wybiegł z izby wieczorem.

— Zdaje ci się, boś sobie już od dawna nabił głowę ptaszęciem, cóż by on tu robił....

Adamek spuścił głowę, ale nie długo jak gdyby mimo woli zerwał się z ławki i wyskoczył za drzwi.—Nie zawiodło go ucho i przeczucie, po drugiéj stronie okna zziębnięty, przemokły szczy-

giełek pukał dziobkiem w małą szybę, ale tak lekko, tak słabo jakby mu już nie wiele sił pozostało.—

Łatwo sobie wystawić z jaką radością chłopczyna wrócił do matki, jak pieścił małego swego przyjaciela, jak go ogrzewał tchem i rękami.

—Wróciłeś do mnie kochany szczygiełku, mówił z uczuciem;—lepiej ci tu niż u panicza! patrz, masz tu świeżą wodę, a *korytko* z siemieniem i gałęź jodłowa jeszcze nietykane, już się też teraz nigdy nie rozłączymy! nie prawdaż?...

Małgorzata patrzyła na radość syna.

—Więc myślisz zatrzymać tego ptaszka? spytała poważnie.

—Czemużby nie? wszak on sam do mnie wrócił, znać że tu woli.—

—Alcż on nie twój, tyś go przedał, wziąłeś za niego pieniądze, nie masz już prawa do niego.

—Prawda matulu! trzeba go będzie oddać panu Józefowi, jutro skoro świt..... ale nie, ja bym nie mógł.... już i w tedy kiedym go piérwszy raz oddawał ledwie mi serce nie pękło, cóż dopiero teraz, kiedy on uciekł ze dworu, kiedy po mnie tęschnił!....

—Jednakże moje dziecko on tu zostać nie *może*, to by była kradzież.—

—Niech tylko przenocuje, jutro rano puszczę go na dwór, niech sobie wraca skąd przybył....., albo lepiéj matulu, jak wyjdziecie z domu to go sami zanieście, bo ja.... ja bym się rozpłakał, a to wstyd płakać, kiedy kto, to tylko robi co powinien.— Jednak..... oh nie zawsze to łatwo być poczciwym!.....

Matka z rozkoszą słuchała dobrego dziecięcia, lecz widząc że deszcz ustał, powstała od komina, zarzuciła kożuch na siebie i rzekła:

—Kiedyć ja mam tego zbiega odprowadzić do dworu, to lepiéj dziś jak jutro, nie spał byś przez całą noc, a rankiem możeby ci jeszcze trudniéj było rozłączyć się z nim.—

—Dobrze mówicie matko! bądź zdrów mój szczygiełku, już się więcéj nie zobaczém!.... nie uciekaj ze dworu, panicz zapłacił za ciebie.... toby była kradzież.—

Małgorzata stanęła we dworze właśnie w chwili, gdy Józio spostrzegłszy ucieczkę ptaszka szukał go po całym domu wyrzekając głośno na jego niewdzięczność.—

—Za cóż on ci ma być wdzięcznym? mówiła matka; czyliżeś mu co dobrego uczynił? dawałeś mu jeść, pić, bawiłeś się z nim dla swojéj ale nie dla jego rozrywki. —

—Jednak mi go *bardzo żal mamo!*

—Pomyśl jak go biedny Adamek musiał żałować, on co go uchronił przed zimném, co go tylu rzeczy nauczył, on co nie miał innéj zabawy, innéj radości.....

— *To* prawda!..... gdybym wiedział że szczygiełek wrócił do Adamka, nie smucił bym się może, ale kto wié gdzie on teraz, może go kot jaki schwycił, a tak ani ja, ani nikt inny pociechy z niego mieć już nie będzie...

—Niech się panicz nie frasuje, rzekła wchodząc we drzwi Franasowa, oto jest ten mały włóczęga; ale trzeba

go dobrze w klatce zamykać, żeby raz jeszcze nie uciekł do Adamka, bo by mi samej żal było chłopaka....

I znów się kobiecina rozgadała, znów opowiedziała smutne rozstanie syna z pierzastym przyjacielem.

Józio poglądał chciwie na ptaszka siedzącego na stole z osowiałą miną, lecz gdy Małgorzata mówić przestała podał jéj go do ręki i rzekł:

— Weźcie go sobie moja Franasowa, nie chcę żeby z mojéj przyczyny dobry Adamek takie miał zmartwienie; niech się cieszy swoim uczniem, ma on do tego większe jak ja prawo. —

— Nie ma już prawa paniczu, już on kupiony...

— Oh! za tę parę złotych miałem przez pięć dni nie mało uciechy; a po-

tém, przecięż mi pozwolicie pobawić się z nim czasami i u was —

Franasowa podziękowała z duszy chłopczykowi, matka uściskała go szczérze, lecz pojęła że kto w tak prostym i biédnym stanie potrafi tkliwość i rzetelność do tak wysokiego stopnia posunąć, temu już nie litość lecz poszanowanie należy.—Odtąd zamiast wspomagania Małgorzaty pieniędzmi lub żywnością, dawała jéj przędziwo, płaciła za nie dobrze, kazała często wzywać Adamka do pomocy dworskiemu stolarzowi, a skoro się cokolwiek oswoił z rzemiosłem, nagradzała jego pracę tak hojnie, że w niedługim czasie Franasowa spokojna, zdrowa, na nowo objęła gospodarstwo, i zaczęła się krzątać żeby synowi po ukończeniu nauki u stolarza nie zbywało w domu na niczém.—

Tymczasem zostawimy tę rodzinę w dobrym bycie i pokoju tak zasłużonym przez poczciwość i bogobojne życie, lecz jeżeli młodych moich czytelników ta książeczka zajęła, może nie długo wrócimy do niéj, równie jak do dalszych rozmów matki z Józiem i Anotsią.

KONIEC.

Spis Rzeczy.